

KUŹNICA

Rok III

Łódź, 7 sierpnia 1947 r.

Nr 31-32 (100-101)

TYGODNIK SPOŁECZNO-LITERACKI

MIECZYSLAW JASTRUN

MEDYTACJE

Doskonałość, do której z taką pracą dążę,
Gdzie jest? Może jej nie ma wcale, powiedz, książko,
Czy to nie słowa tylko? Jeśli zdobędę ją kiedyś,
Będę własnym zabójcą. A przecież nie chciałem
Pisać tak jak dziś piszę — śnieg nie jest tak biały,
Nie jest tak biały pył kredy
Jak to, o czym marzyłem, czego dziś nie dotknę,
Bo szybsze jest od światła i bardziej samotne
Od samotności, której nie uniknę, mimo
Ze jak ludzie północy chronię się przed zimą,
Co przenika do krwi mej uszczelnionym oknem.
Nie wierz kiedy ci mówią, że piórem ja rządę.
Nieprawda! piórem rządzą rzeczy, dlatego błędę.
Nie jestem tym, za kogo mnie podają, jestem
Kimś, kto przystanął w ulicy przejeżdżając drzewa szelestem,
Kimś, kto wzruszony słucha klaskania kół po bruku
Nadę dniem, kto budzi się w nocy i podpatruje trwanie
Przedmiotów, co wyzbyły się wagi, lecz nie są w stanie
Ruszyć z miejsca, gdyż boją się własnego stukotu...
Dlatego stąkam cicho, by ich nie obudzić —
A jednak mówię tylko to, co jest wśród ludzi,
To, czym żyją, nie zawsze wiedząc o czego żyją.
Jestem tylko z tego czasu,
Chcę poznać ręce, które ludzki los mój szyją,
Nożyce, które go przetrną jak kawał atlasu.

MARZENIE POTĘPIONE NIESŁUSZNIE

Właśnie że być — nie w tym, lecz w innym mieście
Patrzeć jak wspina się mur nieznaną epoki,
Jak wyżej rośnie noc w pinii i topól szeleście,
Jak dzień otwiera sto okien.

Jak słycać kobiet lekki krok poprzez aleje,
Jak trzusi się muł — i wiszące morze
Dzikiego wina faluje, gdy kształt dnieje
Lub się zaciera w wieczorze.

Przestać być galernikiem, który jest przykuty
Łańcuchem do swojego czasu, jak w urzędzie
Petent, podsądny może. Kto kielich cykuty
Wychylił raz jeden, będzie

Przez wieki pil na oczach wszystkich. Jeśli czynny
Nasze rzeźbią się w niezniszczalnym materiale,
Ja nie chcę nic prócz garści mokrej gliny,
Która się skruszy w upale.

NIKE

Sto bogiń wlatujących z pola
Zwycięstwa — nie zwyciężyj jednej
Skrzydlatej Nike Fidiuszowej,
Lecz ta nie wzruszy jak Maillola
W kamienia grubej mgle dziewczynna.
Co w pochyleniu szorstkiej głowy
Przymknąwszy oczy przypomina —
I silniej od kamienia błędnie.

Żeby z przestrzenią, którą czuję
Jak obrót gwiazdy w każdym ruchu,
Obcował od westchnienia czulej,
Żeby miał każdą linię w sroku,
W oczach otwartych jak trumona,
Po to się zarzy w kształt przemienia,
Zdjęty z dziesięciu dziewcząt łona,
Jak wielka miłość ze spojżenia.

PUSTE MIEJSCE

Powracam. Ten dom, który niespodzianie wyrósł
Na miejscu pustym, musi odbić się w źrenicy,
Co utrwaliła płynną przestrzeń. — Przewoźnicy
Węgla krzyczeli tutaj w czarnej chmurze pyłu.

Człowiek, co wchodzi w dawny swój czas stopą żywą
Płaski, dwuwymiarowy, wyzbyty ciężenia,
Jest światłem gwiazdy zgasłej, jest podmorską rybą, —
Dotknięciem swym ożywia, albo w kamień zmienia.

Ja, wiem, że do dwudziestu lat trudno będzie
Poznać to miejsce, tak jak przed laty dwudziestu
Zabłąkany, na jawie szedłbym jak w legendzie,
Niechętnie bym się uczył słów dawnych i gestów.

To, co z życia przechodzi w styl, co upodabnia
Myśli i twarze ludzi w czasie, jak w przestrzeni:
Dramat zmienia w komedię i odległość źrenicy
Zbliża jak słowa w zdaniu zbyt gwałtowna składnia —

Jak na filmie, co strasznie zbliża, zszedłszy z ekranu,
Śmiecha ruchy i stroje niemodne aktorów,
Jak listy zwiedle, jak wyznania zakochanych,
Co kryją pomniejszony cień żywych wieczorów.

W oczach mych zatopione kształty i obrazy
Nie giną, jak odbicie miasta w krynabrze rzece,
Jak gwiazdy ożywiają w mych ustach wyrazy,
W ciemnościach snu jak ryba głębinowa świece.

Stojąc na brzegu morza, obrzymia luneta
Chcę zbliżyć przeciwległy brzeg dali porodnej,
Przeszłość, co mnie oddziela Styksem albo Letą,
Jak przeszłość nieobecna, lecz piękniejsza od niej.

KAZIMIERZ BRANDYS

WOJNA TROJAŃSKA

CZASY, w których żyjemy, nie są okresem łatwych porozumień. Używa się często tych samych słów, ale ich treść jest przeciwna.

Nie wszyscy wytrzymali ciężkie lata wojny. Wielu do dziś żyje w przekonaniu, że w katastrofie 1939 — 1945 skończył się świat stworzony dla człowieka, a po niej zaczyna się inny, tworzony — dla kogo? Dla kogoś innego. André Malraux w swym odczycie paryskim powiedział: „Umarł człowiek”. Piękny mit starożytności, chwala renesansu, wiara ostatnich stuleci — legły podobno w gruzach. Okrutna nazwa „Mort homme”, imię fortu z Verdun, gdzie nikt nie został żywy, wypisane zostało po trzydziestu latach na murach obronnych kultury europejskiej. Wielu, powtarzam, przestało wierzyć. Wybitna pisarka polska, której wielkość myśli nieraz wzbudzała we mnie podziw, niedawno w kilku publikacjach określiła swą nową wiarę: wszystko już było, los człowieka jest niezmienny; wszystko, co jest — było i będzie zawsze.

Pesymizm powojenny znajduje wyraz w różnych przejawach — nieraz świetnych artystycznie, jak Jean Paul Sartre lub Albert Camus. Europa jest stara, na bliski kunsztu stać ją nawet w rozpacz. Czyta-

łem niedawno „La nausée” Sartre’a. Tytuł ten po polsku znaczy obrzydzenie, wstręt, mdłości. Obrzydzenie wzbudza w pisarzu świat, widok człowieka, słowo, kształt, gest. Poczucie absurdu, daremności, bólu istnienia jest wszędzie obecne, to plazma, która oblepia myśl. W okresie wielkich strajków francuskich często przychodziło mi do głowy, czy górnik z Lille lub metalowiec paryski odczuwają „la nausée” w stosunku do kapitalistów? Przecież miałoby to tego powody! Ale wydaje mi się, że ich „ból istnienia” wyraża się cokolwiek inaczej. Może nie dorosli do niesnaku i mdłości? Wierzą jeszcze w walkę, naiwni! Ludzą się że człowiek cierpi z braku chleba...

Przypuszczam, że o ile Sartre czy Camus są szczerzy w swym pesymizmie — nie jest pesymistą generał de Gaulle. Że podczas gdy Maria Dąbrowska wyraża szlachetną rezygnację w swej „Chińskiej pocieszce” — daleki jest od rezygnacji generał Anders. Że jakkolwiek pisarze anglosascy nie mogą się oprzeć przygnębieniu na wieści z Hiroshimy, gdzie po działaniu energii atomowej rodzą się dziś potwórki — generał Marshall nie opuszcza rąk. Bo pesymistami rzadko bywają ludzie złej woli. Bo pesymistami naszych czasów nie są świadomi przeciwnicy reformy, lecz ci, którzy w wyniku reformy tracą moż-

ność praktyk intelektualnych, do jakich przywykli, gestów, bez których trudno się im obywać, konwencji, nagle obnażonych przez rzeczywistość.

Opowiadano mi następujący wypadek: w mieście na prowincji żyje profesor-polonia, wspaniały starzec, dawny lew rewolucyjny z r. 1905. Odwiedza go uczeń, dziennikarz, członek PPR-u. Rozmowa jest dramatyczna, profesor zasypuje wychowanka zarzutami pełnymi gorzkości: „Coście zrobili? Gdzie jest wasza rewolucja? Gdzie patos mas wyległych na ulice? To nie gniew ludu, to robota ekonomiczno-administracyjna!” „Panie profesorze” rzekł uczeń „po gniewie ludu zawsze przychodzi robota ekonomiczno-administracyjna. I to jest właśnie rewolucja”.

Stary bojownik z r. 1905 nie jest odosobnionym dziwakiem. To, co u nas znajduje wyraz w podobnych obrazkach, gdzie indziej — w krajach o bardziej rozwiniętym życiu politycznym — przejawia się w formach masowych, w postawach ideologicznych silnych grup społecznych. Leon Blum, zapewne rówieśnik profesora, przedstawił cieli tego samego pokolenia świetnych ludzi z przełomu stulecia, został niewątpliwie również głęboko dotknięty w swych wyobrażeniach o rewolucji. Jest to szlachetne pokolenie, spragnione wiary w człowieka,

Uczą nas, że porządek społeczny będzie lepszy wtedy, kiedy ludzie staną się lepsi. Ale jeśli lato, by uczynić ludzi lepszymi, odrzucimy środki społeczne, czyli materialne (nową organizację ekonomiczną i polityczną), jakimiż wówczas środkami będziemy rozporządzali by zmienić człowieka?

Roger Garaudy

TREŚĆ NUMERU:

- MIECZYSLAW JASTRUN — WIERSZE
- KAZIMIERZ BRANDYS — WOJNA TROJAŃSKA
- STANISŁAW RYSZARD DOBROWOLSKI — ARRIBA PARIAS
- STEFAN ŻÓLKIEWSKI — JESZCZE O POLITYCE KULTURALNEJ
- ROGER GARAUDY — KOMUNIZM I MORALNOŚĆ
- JERZY BOREJSZA — LIST JUBILEUSZOWY
- KONSTANTY GRZYBOWSKI — JESZCZE O PROBLEMACH UNIwersyteckich
- JAN KOTT — GORZKIE OBRACHUNKI
- MELANIA KIERCZYŃSKA — Z ZAGADNIEN REALIZMU
- BOLESŁAW DUDZIŃSKI — NOWE „DZIEJE CHŁOPÓW W POLSCE”
- HELENA KRAJEWSKA — WEDRÓWKA PO WYSTAWACH PARYSKICH MAJ — CZERWIEC 1947
- TADEUSZ BREZA — NOTES DYKIERTA
- ZYGMUNT RADEK — WIERSZE
- JULIUSZ ZULAWSKI — LIPIEC 1944 W NAJCICHSZYM ZAKĄTKU ŚWIATA
- MARIA DŁUSKA — DOKOŁA PODSTAW WERSYFIKACJI
- ALFRED KRYGIER — PIĘCZDZIESIAT LAT PRACY SPOŁECZNEJ H. RADLIŃSKIEJ
- ADAM BROMBERG — PODRĘCZNIKI I KSIĄZKI NAUKOWE NA NOWY ROK SZKOLNY
- JOZEF SIERADZKI — NA PRUGU REWIZJI
- STEFAN OTWINOWSKI — W KRAKOWIE (LIST DWUDZIEŚCI CZWARTY)
- JAROSŁAW IWASZKIEWICZ LAUREATEM NAGR. „ODRODZENIA”
- KRONIKA FRANCUSKA KRONIKA RADZIECKA
- Z. KAŁUŻYŃSKI — „BURZA” SZEKSPIRA
- KANDYD — TAK TOCZY SIĘ ŚWIATEK
- PRZEGLĄD PRASY KORESPONDENCJA NOTY

Wpisano...
[Miejscu...]
4. VIII. 1947 r.

ocalić w rewolucji „dobra ludzkie”, zapobiec pogwałceniu praw jednostki. Trzeba pamiętać, że burżuazja francuska posiadała swą świętość — nie tylko bogactwo; tradycję i uroki — nie tylko fabryki i banki. Blum jest jej synem, synem wielkiej mieszczańskiej Francji, z jej literaturą, sztuką i historią. Pragnął uchronić jej piękno i godność przed tym, co zostało nazwane „wywłaszczeniem duchowym”, a co idzie w ślad za wywłaszczeniem. Ale historia lubi brutalne wybory: godność ludzka, to piękne słowo — nie ma jednak pojęć, których by nie gwarantował system. O ich treści rozstrzyga odpowiedź: jaki system je gwarantuje? Odpowiedź na to pytanie dał dzisiaj sam Leon Blum, głosząc ideę bloku zaporowego państw kapitalistycznych przeciw państwu reformy społecznej — pod hasłem obrony człowieka. Historia ostatniego stulecia widziała już podobne wypadki: dość wymienić Lloyda George'a, przywódcę drobnomieszczańskiego radykalizmu, który w 1909 r. wołał z trybuny w parlamencie: „Sprawiedliwość i litosć są nieśmiertelnym elementem rządzenia światem. System, który ulicę rozkoszy brukuje sercami cierpiących rzesz, skazany jest na zagładę”. Ten sam Lloyd George w dziesięć lat później stał się wcieleniem angielskiego imperializmu. W Niemczech Fryderyk Ebert, prezydent-rymarz, jeden z wodzów socjal-demokracji, człowiek, któremu najzacieklejsi wrogowie nie odmawiali osobistej uczciwości, pragnął ocalić przed rewolucją proletariatu masy drobnomieszczańskie, z których wyrósł. Doszedł na tej drodze do paktu z Hugonem Stinnessem, do wspólnego tłumienia rewolucji robotniczej, do współdziałania z niemieckim junkierstwem.

Każdy naród, odbywając swą drogę do reformy, spotyka na niej tych ludzi. Charakterystyczne, że nie uważają się za przeciwników przemian — pragną jedynie coś z nich ocalić. Są ludźmi, powtarzam, dobrej woli i czystych rąk, a cechą, która ich łączy pod każdą szerokością geograficzną, jest zwykle opór intelektualny przeciw całkowitej rezygnacji z dóbr starego systemu. Z dóbr niematerialnych, z wyobrażeń moralnych, z gestów obyczajowych, z tradycji, z atmosfery. Nie trzeba być politykiem, aby stać się jednym z nich. Oni — to masy mieszczańskiej inteligencji: stary nauczyciel, aptekarz, urzędnik, adwokat czy ksiądz. Nie są „reakcjonistami”, nie są nimi na pewno w swoim sumieniu. Ale niestety — rozwój rzeczywistości przechodzi zazwyczaj ponad sprawami ludzkiego sumienia, stwarzając podziały namacalne, niż podział na ludzi czystych i nieczystych sumień. Ludzie, o jakich mówię, zostają z czasem zaszerogowani niezależnie od swej świadomości, wbrew swemu przekonaniu — do obozu, z którym wydaje im się, że walczą, i którym wydaje im się, że gardzą, a z którym łączy ich niekiedy jedna fałszywa przesłanka. Bardziej świadomi spośród nich zdają sobie sprawę z konieczności wyboru — a wybór jest trudny, okrutny. Z czasem nie należy się dziwić, że wybierają pesymizm. Bo pesymizm w tej sytuacji bywa łatwym wyjściem.

Ala pesymistyczna może być literatura, pesymistyczna może być filozofia — polityka nie może być pesymistyczna. To André Malraux mówi, że umarł człowiek, to Jean Paul Sartre pisze o niesmaku — politycy ich grup wysuwają hasło „obrony człowieka”. Wsuwa je dziś stary Leon Blum, wódz rozbitej i osłabionej SFIO, polityk, który jak żaden inny ma powody do pesymizmu. W ślad za nim, w ślad za innymi podnosi się hasło z wielu ust szarych ludzi, ludzi dobrej woli, którzy pragną ocalić z reformy jakiś atrybut, jakiś przywilej, jakiś obszar praktyk, których trudno im się wyrzec, a które zmiata fala przemian. W ten atrybut, w ten przywilej zaczynają wierzyć, o nie gotowi są walczyć, one urastają w ich oczach do idei człowieka. Oddamy fabryki, oddamy ziemię, ale tego nie oddamy, bo jeśli to oddamy, wówczas „umarze człowiek”. Wybucha więc nowa wojna trojańska o piękną Helenę, którą może być każde imponderabilium wysunięte przez p. Jasienicę, przez jasienicę różnych formatów i szerokości geograficznych. Może te wszystkie zawołania są głoszone w dobrej wierze z czystym sumieniem, ale to znowu inna sprawa — sprawa duchowna, nie świecka, świecka, obiektywna treść tej krucjaty brzmi inaczej. Wyrażają ją od stu lat te same zjawiska, ich sens jest wciąż ten sam: oddamy imponderabilia, oddamy godność człowieka, ale nie oddamy tej ziemi, nie oddamy fabryk, bo jeśli to oddamy, to cóż nas obchodzi człowiek?

Rozumiem, że świat, w którym najpiękniejsze słowa mają podobny rewers, w którym najczystsze intencje bywają bezwiedną funkcją tak brutalnych sił — może się wydać niemłym. Ale jeśli się podnosi hasło w jakimś momencie, trzeba się dobrze

zastanowić, co oznacza to hasło właśnie w tym momencie. Historia nie jest przestrzenią niezmiennych pojęć, hasło obrony człowieka, podjęte przeciw systemowi kapitału wyzyskującego pracę, i to samo hasło, podniesione przeciw reformom wyzwalającym pracę ludzką — to są dwie różne sprawy. Trzeba pamiętać, że treść pojęcia jest w każdym czasie określona przez moment historyczny; naprawdę nie pracuje tylko przeszłość — każda teraźniejszość może zamienić ją w kłamstwo.

Jeśli się podejmuje obronę człowieka, pierwsze pytanie zadane sobie samemu powinno brzmieć: czym jest dziś człowiek? Oczywiście, pisarz katolicki odpowie mi na to pytanie z całą łatwością, jaką daje ideologia oparta na wierze w wieczne, niezmiennie cechy osobowości ludzkiej. Ale niestety, ta usypiająca wiara nie została mi dana. Widzę człowieka, jako wciąż dziejący się dramat, zawisły od zmiennych sił, które on sam tworzy, z którymi walczy, które kształtuje i które jego kształtują. Słowo „człowiek”, odarte z momentu i sytuacji dziejowej — ma dla mnie znaczenie tylko biologiczne; ale obrońcy człowieka nie walczą o prawa jego biologii, bo gdyby przecież tak było, mieliby piękny teren badawczy w koloniach Imperium Brytyjskiego, gdzie eksploatacja biologii człowieka jest zasadą gospodarki...

Człowiek nie istnieje w pustce międzyplanetarnej, lecz w zorganizowanym społeczeństwie. Nie można odłączyć pojęcia człowieka od czasu, w którym się urodził, i organizacji, w której żyje. Dzisiejsi obrońcy „człowieka” unikają, jak gdyby wstydliwie, dalszych określeń przy tym słowie, stawiają je bez daty i bez przymiotnika, bo samo słowo „człowiek” brzmi daleko szlachetniej, niż posępne słowa i krwawiące daty: robotnik, urodzony w roku 1905, z ojca metalowca, z matki rewolucji, padł w roku 1945 na szosie pod lasem.

Jeśli się broni w r. 1945 czy 47-ym „człowieka”, nie mówiąc nic więcej, to rozsądek każeby rozumieć, że jest to obrona człowieka przed systemem kapitalistycznej przemocy, w której się ten człowiek urodził, która dławila, lub jeszcze dławi jego rozwój. Jest to jedyna forma obrony człowieka, jaką może dopuścić rozum i świadome sumienie. Ale przecież dzieje się inaczej. Wojna trojańska toczy się o co innego. To nie kapitalizm, to jego obalenie, przynosi z sobą warunki, w których ginie człowiek! To nie eksploatacja kapitalistyczna pozbawia go praw do istnienia, lecz ustrój, który go od niej wyzwala, i ideologia, która ten ustrój głosi! Tak, bo jeden z żelaznych argumentów mieszczańskiego inteligenta, ratującego przed reformą swój багаż ideowy, zawiera się w twierdzeniu, że marksizm jest antyhumanistyczny. Setki ludzi ogłupiają się nawzajem tym typem twierdzeniem, powtarzając w kółko, że trzeba „odrodzić człowieka”. Jak gdyby można go było odrodzić dopiero wtedy, kiedy zupełnie zgłupieje. W „antyhumanistycznym” marksizmie zawarta jest wielka diagnoza losu ludzkiego i wskazana droga jego wyzwolenia. Właśnie marksizm jest obroną człowieka, obroną przed rzeczywistymi siłami, jakie mu grożą. Jest obroną, bo uczy rozpoznawać prawa tych sił i uczy jak z nimi walczyć.

Ala widocznie trudno to uznać przed samym sobą; dziś jeszcze istnieje kraj, w którego wyższych uczelniach profesorowie mrugają okiem z katedry, gdy pada słowo o marksizmie. Bo marksizm, to zadana nauka, to mury Troi, za którymi schowano „człowieka”, aby nie mógł się dobrze rozwijać.

Na takiej drodze znajduje się tylko to, co jest wygodnie znaleźć. Znajduje się słowa i hasła, ale obrony człowieka się nie znajdzie. Można znaleźć zbawienie, lecz jest to sprawa duchowna i osobista, a nas obchodzi sprawa świeckie i obiektywne. Obrona człowieka? Rozumiem te słowa tylko, jako walkę z systemem, w którym człowiek ginie. Kto tej obrony nie zaczyna od walki z systemem, ten broni systemu, nie człowieka. Pojmuję, że można to robić na zimno, z pełną obłudą i świadomością oszustwa. Nawet piękniejsze słowa niż „człowiek” służyły równie brudnym celom. Lecz tym wszystkim, co szczerze wierzą w obronę jakiegokolwiek ludzkiego wartości w ramach systemu, który zabija człowieka, zacytuje słowa Lenina: „Jesteście gorsi od kury, kura nie odważa się przekroczyć koła zakreślonego dokoła niej kredą, ale ona może przynajmniej powiedzieć na swoje usprawiedliwienie, że krąg ten zakreśliła wokół niej cudza ręka. Ale wy własną ręką zakreśliście krąg dokoła siebie i teraz spoglądacie nań, jak na rzeczywistość”.

Kazimierz Brandys

ST. R. DOBROWOLSKI

ARRIBA PARIAS

Wąskie mogiłki republikanów
trawa porasta —
jak szal Sewill! gniew i nienawiść
na wsie i miasta.
Wąskie mogiłki republikanów
czas porozkruszał:
gniewu nie skruszy — cześć i dynamit
w sercach i w duszach.
Wąskie mogiłki republikanów
wiecher rozmiata —
ponad Madrytem cienie pobitych,
smuga na światem.
Mrok nad Madrytem, noc nad Owiędą
i tylko błyskiem
biłwak żołnierski, pieśń partyzancka
grozi frankistom.
Wąskie mogiłki republikanów
piersią osłonić:
Chłopi Kastylii i Arragonu,
Jeszcze nie koniec!
Żyje w Kastylii i w Katalonii
Guadalajara.
Życie za wolność! Cześć i dynamit!
Arriba parias!...

18. VII. 1946 r.

STEFAN ŻÓLKIEWSKI

Jeszcze o polityce kulturalnej

Mój obszerny artykuł z 27 numeru „Kulturny” „Uwagi o polityce kulturalnej” wysłużył mi krótką i sumaryczną ocenę „Gazety Ludowej”, iż jestem bałwochwalcą wszechmocy planu i urzędu w sprawach kultury.

Ocena ta wynika z chęci złośliwego przekręcenia sensu mego artykułu. Cała bowiem jego treść teoretyczna sprowadza się do wydatnienia, iż w kulturze tylko określone, niektóre elementy poddają się bezpośredniej interwencji organizacyjnej, a więc właśnie planowi i urzędowi. Celem mego artykułu było wykreślenie jasnej granicy między elementami poddającymi się tej interwencji i nie poddającymi. Wylączyłem bardzo wiele. Aż tych wszystkich, którzy tworzą kulturę. Wylączyłem bowiem spod bezpośredniego wpływu interwencji organizacyjnej samych twórców. Wskazałem natomiast organizacyjne możliwości przeobrażeń konkretnych sytuacji kulturalnych w Polsce. W praktyce sprawdzono się to do szeregu propozycji zorganizowania u nas konsumpcji kulturalnej i postulowanego konsumenta. W tej dziedzinie zaś chyba i „Gazeta Ludowa” przyzna kompetencje planom i właściwemu ośrodkowi dyspozycji?

Dla dobra kultury — trzeba w dziedzinie organizacji konsumpcji kulturalnej zerwać z partyzantką, chałpniactwem, anarchiczną inicjatywą jednostek.

Tylko tam bowiem można uzdrowić TREŚĆ życia kulturalnego, gdzie celowo zostanie zorganizowana KONSUMPCJA dóbr kulturalnych. Ta organizacja konsumpcji jest ważniejsza — jako podstawowy determinant polityczny i ekonomiczny — od szczegółowej cyzelacji programu ideowego i bodaj ważniejsza nawet od organizacji samej produkcji kulturalnej, która bez zorganizowanej konsumpcji nigdy, przy największych wysiłkach nie przekroczy pewnego dość ograniczonego poziomu i bodaj wyznaczonego właśnie przez starą, zastaną organizację konsumpcji. Bo jak mówiłem w moim artykule — konsumpcja jest zawsze jakoś zorganizowana. Zasada tej organizacji jest funkcją panującego ustroju. Gdy ustrój się zmienia — jeśli chce my przemienić i kulturę, musimy na nowo i już świadomie i planowo — tak jak nowy ustrój — organizować konsumpcję kulturalną.

Postaram się taktami dowieść tych kilku ogólnych prawd wyżej sformułowanych. Z Wydz. Kult.-Oświatowego wojewódzkiej Kom. Zw. Zaw. dostaję powielany okólnik. Powielany, a więc zapewne dostało go wielu pisarzy. Okólnik ten podpisany nazwiskiem znanej i zasłużonej robotniczej działaczki oświatowej prosi literatów: „Wskażcie, podając tytuł i autora, dzieła nadające się do realizacji w teatrach świetlicowych. Wybierzcie odpowiednio fragmenty w powieściach, nowelach, poezji. Podajcie tylko te dzieła, które znajdują się na półkach księgarskich, lub w Bibl. Miejskiej”.

Pismo zaś zaczyna się takim zdaniem: „Sprawa repertuarowa wciąż nastrocza świetlicy wielkie trudności. Są one raczej pozorne i wynikają z niedołęstwa instruktorów teatrów świetlicowych, którym musimy pomóc”.

I co ja mam odpowiedzieć na taki okólnik? Intencji należy z najwyższym uznaniem przyklasnąć. Wreszcie teatr świetlicowy, żyjący szmirą, zwraca się do pisarzy, do ludzi sztuki o rać. Bez troski o poziom nic nie wyjdzie z upowszechnienia kultury. Ale jak to wygląda od strony organizacyjnej? Okólnik otrzyma paru ludzi. Czy istotnie znawców i teatrologów i sztuki? Na pewno nie. Skąd wezmą czas na właściwe wykonanie pracy proponowanej im przez Wydział Kult.-Oświatowy OKZZ? Przecież, aby odpowiedzieć na ten okólnik, trzeba siedzieć dobry miesiąc kamieniem w bibliotece i prowadzić celowe, zorganizowane poszukiwania. Przecież pisarz, który dotychczas nie stykał się z robotniczym ruchem oświatowym i jego ideologią — tylko przypadkiem może dobrać właściwe teksty do inscenizacji.

Ala to prosi się o organizację! Centralna Komisja Zw. Zaw. (a nie wojewódzka!) winna zamówić u odpowiedniego kolektywu (pisarzy i działaczy oświatowo-polityczni) przygotowanie takiego spisu fragmentów utworów literackich nadających się do inscenizacji w robotniczym teatrze świetlicowym fragmentów utworów literackich. Spis taki wystarczy potem rozesać do wszystkich terenowych ośrodków Zw. Zaw. Czy ta praca musi polegać na niechlujnej improwizacji kierowników oświaty robotniczej i jeszcze niechlujniejszej improwizacji ich przypadkowych doradców literackich?

Cytuję tu drobny wyrwany przykład. Ala takich sytuacji jest tysiące. Cała wielka dziedzińska konsumpcja kulturalnej jest tak zorganizowana, że decyduje o niej przypadkowa odpowiedź przypadkowego człowieka, na przypadkowy list pełnego dobrej woli kierownika wydziału kult.-oświatowego OKZZ.

Pewien znakomity działacz bardzo słusznie ocenił nasze ostatnie dyskusje nad sensownym planem wydawniczym: że go nie stworzymy nigdy bez organizacji konsumpcji książki. Stworzenie na wzór amerykański „klubów czytelniczych” pozwoli obniżyć cenę książki i pozwoli zatem program wydawniczy oprzeć na nowych zasadach, będących ideologicznym odpowiednikiem nowej społecznej organizacji ekonomicznej rynku wydawniczego. Trzeba konsumpcję książki zorganizować na innych zasadach, niż tylko komercyjne, jeśli chcemy, by dobór książek w planie wydawniczym zależny był od innych względów aniżeli tylko komercyjne. Dotychczas organizowaliśmy produkcję książki, a zaniedbaliśmy organizację jej konsumpcji. Rezultaty nieuchronne tego właśnie mamy w niecelowym, chaotycznym programie wydawniczym. I nie usensownimy planu wydawniczego bez urzeczywistnienia tych materialnych warunków takiego usensownienia. Sens w działalności kulturalnej nie jest tylko funkcją namystu, ideologii, ale przede wszystkim warunków materialnych celowo zorganizowanych.

„Kochane pismo dla wszystkich” widzi zatem, iż nie jestem bynajmniej bałwochwalcą urzędu i jego roli w kulturze. A po prostu jestem przeciwny bałaganowi i bezholowiu w robocie kulturalnej.

Stefan Żółkiewski

ROGER GARAUDY

przekład PAWŁA HERTZA

KOMUNIZM I MORALNOŚĆ *)



Karol Marks i Fryderyk Engels

Nie można przywrócić Francji jej wielkości, nie czyniąc ogromnego wysiłku w kierunku odrodzenia moralnego i intelektualnego. Kraj nasz jest dotknięty poważnym kryzysem moralności. Kryzys ten nie datuje się od czasów wojny czy okupacji. Podczas naszego kongresu w Villeurbanne, przed dziesięć laty, oświadczyliśmy co następuje:

„Równoległe do korupcji, która panuje wśród klas panujących, straszliwa nędza wywołuje stanowcze zachwianie się zmysłu moralności“.

Afera Stawiskiego uwiarydlała całą głębię kryzysu.

Polityka nieinterwencji, polityka Monachium, były oparte na pogardzie dla dzielności, szlachetności i wielkości przyrodzonych naszemu ludowi. Polityki te były jawną spekulacją na słabościach ludzkich,

na egoizmie i tchórzliwości, na rezygnacji z poświęcenia i z wielkości.

Pragnąłbym wezwać komunistów, aby stali się bojownikami moralności. Niektórzy ludzie wyobrażają sobie, że komunisty są obcy sprawie moralności dlatego, że moralność jakoby nie może mieć innych fundamentów prócz przyrodzonej wiary w sprawiedliwego Boga. Takie mniemanie jest całkowicie błędne.

Moralność jest zespołem reguł, które rządzą swobodnym działaniem człowieka. Dla nas, komunistów, nasze działanie zależy całkowicie w kierunku postępu społecznego, w kierunku zniesienia wyzysku człowieka przez człowieka, w kierunku stworzenia braterskiego społeczeństwa ludzi naprawdę wolnych, całkowicie panujących nad przyrodą. To też nasza moralność jest zespołem reguł rządzących naszą

działalnością, która służy najpiękniejszej i najbardziej szlachetnej ze spraw, służąc jednocześnie interesom naszego ludu i naszego kraju.

Twierdzą, że nasza moralność jest prawdą moralnością najwyższą: ci, którzy trzymają się jej zasad, narażając się na śmierć dla celów, jakie sobie wytknęliśmy, nie mają potrzeby spodziewać się wynagrodzenia w życiu pozagrobowym, które nie istnieje. To właśnie stanowi jeden z najpiękniejszych dowodów całkowitej bezinteresowności.

Pierre Rigault, dawny przywódca Młodzieży Komunistycznej, rozstrzelany przez Niemców, napisał w ostatniej godzinie swojego życia: „Jestem tylko odrobina krwi, która użyźni francuską ziemię“. Jacques Decour mówi również w swoim ostatnim posłaniu do towarzyszy: „Uważam się prawie za liść, który spada z drzewa, by stać się nawozem“.

Nasi bohaterowie wiedzieli, że rozplyną się w nicości, ale ich duch żyje w nas, żyje w naszym ludzie i prowadzi Francję ku świetle: do przeznaczenia.

Maurice Thorez

„Polityka wielkości Francji“

Wstęp

Materializm marksistowski przekształca nas w maszynę albo w zwierzę, trochę tylko wyżej stojące od goryla lub szympansa. Jego determinizm likwiduje naszą wolność... Jakże można jeszcze mówić o godności ludzkiej? Cóż pozostaje ze słów, gdy się nam wydzie... nasze nadprzyrodzone atrybuty?

Kto to powiedział? Gdzie to powiedział? I kiedy? Czcigodny ojciec Panici z zakonu Jezuitów wygłosił te słowa z wysokości najbardziej donośnej katedry Kościoła Francji: z katedry katedry Notre-Dame w okresie Wielkiego Postu 1944 roku, pod okupacją hitlerowską; powtórzył je zaś w okresie Wielkiego Postu 1945 roku wówczas, gdy siedemdziesiąt tysięcy materialistów, członków Partii Rozstrzelanych, walczyło i ginęło za sprawę wolności i godności człowieka.

Ten sam czcigodny ojciec Panici powiedział jeszcze, również z tej samej katedry, w roku 1942:

Jak każdy materializm, doktryna Marxa zaprzecza wolności i godności człowieka.

1942! Czcigodny ojciec Panici znieważa męczenników Chateaubrianta, których Hitler tylko rozstrzelał; znieważa ich po to, by poniżyć jeszcze ich honor. Tym samym wyklina całą materializm, całą dawną tradycję francuską, która za pośrednictwem Kartezjusza i filozofów XVIII wieku, po przez Diderota i Encyklopedystów, natchnęła najbardziej szlachetny ze wszystkich wzniosłych ruchów naszej historii: Rewolucję roku 1789, zdobycie „Wolności“ człowieka, jego praw i jego „godności“.

Żadna propaganda nie mogła z pewnością okazać się bardziej przyjemna dla hitlerowców w okresie, gdy najsilniej zwalczyli oni komunizm, w chwili, gdy wraz ze swoimi współnikami z Vichy przypominali tak często hasło „Mein Kampf“: „wykreślić rok 89 z historii“.

Czcigodny ojciec Panici, który głosił kazania w Notre-Dame każdego postu, podczas trwania okupacji, nie znalazł przy tym słowa potępienia dla hitlerowskiego

JERZY BOREJSZA

LIST JUBILEUSZOWY

Drogi Stefanie!

Skoro mam do setnego numeru „Kuznicy“ napisać kilka uwag ręką, która wprawia się raczej w ciągu ostatnich trzech lat w podpisywanie okólników administracyjnych, i oderwać się myślą od tego, co nazywam budowaniem szaletów na placu Kazimierza Wielkiego, gdzie stanie „Dom Słowa Polskiego“ — jakże nie przypomnieć tej chwili, gdy rodzilo się młode pismo, gdy dyskutowaliśmy o jego planach, rozwoju, zasięgu. A było to w Lublinie wtedy, gdy jeszcze najpoważniejsze resorty PKWN mieściły się w kilku małych pokojkach, w których raz po raz gasło światło elektryczne. Było to potem w Łodzi wtedy, gdy wykuwał się nowy ustrój, nowa władza, nowe państwo i z trudem można było narysować szczegółowo kontury rzeczywistości, która powstała. Nazwę pisma rzucił, zdaje się, Mieczysław Jastrun, Zofia Nałkowska z zapalem podsuwała pomysły, nazwiska, tytuły artykułów. Władysław Bienkowski, prof. A. B. Dobrowolski, Adolf Rudnicki i ty, ty, ty innych, wiązało z „Kuznicą“ nadzieję, że powstanie wielka trybuna postępowej, lewicowej inteligencji, która przypomni tradycje kołłątajowskiego środowiska i Ludwika Waryńskiego i Wacława Nałkowskiego i Ludwika Krzywickiego.

Dwa lata prawie... i należałoby może w tych jubileuszowych uwagach napisać o wielkim dorobku zespołu i o tobie, i o tym, że byłoby bardzo, i bardzo smutno w Polsce, gdyby tej „Kuznicy“ nie było. Należałoby napisać o wielu bitwach, rozegranych i wygranych na łamach „Kuznicy“ i o wielkiej ofensywie prowadzonej na węzłowych odcinach, i o twoim referacie o polityce kulturalnej, który miałem ochotę rozesłać jako okólnik do wykonania (ach, ta mania administracyjna). Ale to nie jest nasz styl, to styl tych czasów sanacyjnego wazelinarstwa, kiedy kliczki i pisarze siebie nawzajem bałwochwalczo podnosili pod niebiosa, kiedy rozdzielano między siebie ordery, tytuły, nagrody, kiedy wszystko było epokowe, historyczne i wiekuiste i kiedy zarozumiała próżność zastępowała zdrową ambicję. Niestety, ślady tych czasów jeszcze pozostały tu i ówdzie, bo pozostał jeszcze i żyje ten typ głupawego inteligenta, mięczakowatego i pyszalkowatego, obraźliwego i przeważliwego na każde słowo krytyki, zaskuchanego w swoich własnych argumentach i ukrywającego swą — pozał się Boże — niezależność w skorupie ślimaka. Tu i ówdzie taki światopepek prawem mimikry stał się ostatnio czerwony. Bo jak słusznie powiedział Jarosław Iwaszkiewicz i „wieżę z kości słoniowej można pomalować na czerwono“. Tylko, że pozostaje wieża z kości słoniowej. Wołaj jej naturalny, biały kolor.

Nas wychowano w twardej szkole krytyki i samokrytyki. To nasza naukowa marksistowska spowiedź. W naszej walce o zwycięstwo nie mamy czasu na pochwały — czasem przesadnie krytykujemy popełnione już błędy, albo przewencyjnie uprzedzamy błędy, które mogą nam grozić. I nikt z ludzi tej „Kuznicy“ dla której w rozdźwięku między słowem a czynem

istnieje morale dulszczyzny nie zrozumie tej wagi, jaką przywiązujemy do każdego sformułowania, bo wiemy, że słowa przez nas rzucane musimy i będziemy realizować. A gdy poza tą twórczą krytyką i samokrytyką następują smutne chwile, gdy ktoś z nas nie dobiega do finiszu, znajdujemy czas, by nad grobem rzucić słowa pochwały. W tym wypadku rzadko przesadzamy. Tacy jesteśmy i to jest nasz styl.

Nie sposób podsumować wszystkich spraw na łamach „Kuznicy“ poruszanych. Pragnąłbym zwrócić uwagę na sprawę, która została zaniedbana przez nas wszystkich, a którą należałoby z całą energią i siłą podjąć i na niej ześrodkować wszystkie wysiłki.

W swoim referacie o polityce kulturalnej napisałeś: „głównym naszym zadaniem jest zmiana struktury życia kulturalnego w Polsce: zniesienie rozdziału między dojrzałą arystokratyczną kulturą klas uprzywilejowanych i służącej im inteligencji a kulturą mas. Powtórę emancypacja i awans klasowych elementów kulturalnego życia robotniczego i chłopskiego. Po trzecie zastąpienie w życiu mas peryferyjnych niedojrzałych form kultury ludowej, kulturą dojrzałą, związaną z całą i pełną tradycją najlepszych osiągnięć kultury europejskiej. Po czwarte, stworzenie poprzez te przeobrażenia strukturalne nowego stylu kultury ludu. Te postulaty w sumie znaczą tyle, co stworzenie instytucji, formy i stylu kultury mas w Polsce, ukształcenie kulturalne mas ludowych“.

Może w tych słowach jest zawarte najściślej sformułowanie naszych zadań na odcinku kulturalnym. To zadanie może być wykonane jedynie, jeśli rozpoczniemy rewizję stosunku naszego do literatury, nauki, dorobku kulturalnego okresu międzywojennego, jeśli przetniemy pepowinę, łączącą nas z okresem owej „dojrzałej kultury klas uprzywilejowanych“.

To zadanie może być wykonane jedynie wtedy, jeśli stworzymy klimat dla powstania twórczości artystycznej związanej z naszą współczesnością. Zagadnienie nowej nauki humanistycznej jest bardziej długofalowe, wymagające szeregu prac przygotowawczych, monografii, publikacji źródłowych. Natomiast sprawa teatru, filmu, powieści, poezji, — jako elementów nowej kultury mas mogła już wejść w okres realizacji.

Na podstawie sprawozdań Centrali Bibliotek Ruchomych przy „Czytelniku“, materiału statystycznego 350 bibliotek ruchomych, w nastrojach mas nastąpił zdrowy zwrot. Po okresie zainteresowań powieścią historyczną, obecnie na wsi i w fabrykach poszukują powieści współczesnej. Reportaż Antoniego Olchy „Nowa Naprawa“ cieszy się wielką poczytnością. Jest to zdrowy odruch mas, świadomych wielkości naszych czasów, mas, które chcą czytać o sobie, o swoim wysiłku i bohaterstwie. Literatura staje się wtedy zwierciadłem, jeśli tak wolno powiedzieć, duszy mas. Wielkie epoki zawsze sprzyjały powstaniu powieści współczesnej. Cervantes i Balzac, Prus i Tolstoj, Orzeszkowa i Galsworthy

byli niemniejszej wagi pisarzami, aniżeli wielu twórców polskich, uciekających w obce kraje i obce epoki.

Między zdrowym zapotrzebowaniem przez masy owej literatury współczesnej — a grupą pisarzy z okresu międzywojennego, istnieje często przepaść. Niewątpliwie są wśród nich tacy, dla których nasza łagodna rewolucja jest obca, wroga. Są tacy, którzy tworząc intelektualną emigrację wewnętrzną w kraju, zasłaniają się troską o „obniżenie poziomu kultury“, udowadniając, że trzeba „masy ciągnąć wzwyż i czekać póki one podrosną“. Są wreszcie tacy, którzy wołają pójść drogą najkrótszą: trudno bowiem wyczuć współczesność w drodze z „cukierki do domu“.

W pierwszym rzędzie od organu lewicy, jakim jest „Kuznica“, należy oczekiwać krytycznego podejścia i to zasadniczego, do okresu międzywojennego i do zagadnienia współczesnej literatury. Niestety, myśmy tego nie uczynili, myśmy pepowiny nie przecięli. Ludzie o kurzych skrzydłach i kurzej ślepotce sadzili, być może, że chcemy klajstrować i chcemy przejść na pozycje obronne.

Jest legenda, która jest prawdą, i ona żąda swego wyrazu artystycznego. Jest nasze podziemie okupacyjne, jest Karol Świerczewski, są nasi dąbrowszczacy, jest wojsko, które biło się i ginęło, jest przesiedlenie na Ziemię Zachodnią, jest polska rewolucja — która czeka na swoich autorów. Jeśli zadanie, które postawiłeś, na odcinku kulturalnym nie ma pozostać teorią — należy stworzyć klimat, w którym wyrosnie nowe pokolenie pisarzy, które swoją świeżością, dynamiką i talentem stanie się magnesem, wyciągającym starsze pokolenie pisarzy z marazmu intelektualnej emigracji wewnętrznej.

Po to, aby ten proces przyspieszyć, jak mówiliś na zjeździe pisarzy należy: „iść na rynek. Zrozumieć i odczuć jego zgiełkliwą wymowę“. Należy powiązać inteligencję z masami, należy przelamać opory przed pójściem do Związków Zawodowych czy TUR-u, należy wreszcie nauczyć się mówić i pisać językiem zrozumiałym dla mas i dla inteligencji, nie zniżając poziomu. A że to jest możliwe, świadczy o tym literatura naszych klasyków.

Oto niektóre zadania ofensywy na odcinku kulturalnym, w której przodować winna „Kuznica“.

Taka ofensywa jest jednak możliwa jedynie wtedy, jeśli na odcinku kulturalnym nastąpi planowa gospodarka.

Zamiast krytyki napisałem kilka uwag dla poparcia też, głoszonych ostatnio na łamach „Kuznicy“.

Obrachunki na węzłowej stacji mają się ku końcowi. Wchodzimy w długi okres stabilizacji politycznej i gospodarczej w kraju i ta atmosfera umożliwia długofalowe planowanie kulturalne i oświatowe.

Na węzłowej stacji drogi rozchodzą się. O tym należy pamiętać. Kierunki są odwrotne i odległość będzie wzrastać.

Może i lepiej.

Jerzy Borejsza

*) Rozprawa Rogera Garaudy „Komunizm i moralność“ ukaże się nakładem Sp. Wyd. „Książka“.

barbarzyństwa i dla jego współników we Francji. Natomiast wielokrotnie powtarzał wezwania na rzecz karty pracy oraz namawiał do posłuszeństwa wobec władz:

„Jeśli ład narodowy ma wzrastać i wydać owoce — mówił o. Paniel w okresie Wielkiego Postu 1942 roku — to musi zakorzenić się głęboko w naszych sercach i w naszych myślach. Najbardziej trzeźwa, najbardziej energiczna władza może nam jedynie przedłożyć plan jakiegoś porządku; nie może go jednak realizować bez naszego udziału i nie może go urzeczywistnić, jeśli nikt nie będzie wypełniał przepisów lub też jeśli każdy wykona tylko to, co wystarczy, aby uniknąć sankcji... Jesteśmy obowiązani zgodzić się z sumieniem, powiedzmy obywateli, jeśli nikt nie będzie wypełniał przepisów lub też jeśli każdy wykona tylko to, co wystarczy, aby uniknąć sankcji... Jesteśmy obowiązani zgodzić się z sumieniem, powiedzmy obywateli, jeśli nikt nie będzie wypełniał przepisów lub też jeśli każdy wykona tylko to, co wystarczy, aby uniknąć sankcji... Poświęćmy realne wysiłki dziełu współpracy, której od nas żądają”.

Wielki mówca jezuicki nie uznawał w okresie całej okupacji innego „porządku”, prócz „porządku” wroga i jego kamratów; nie znał innego wroga prócz najdzielniejszych i najbardziej aktywnych patriotów.

Zapewne, moralisci chrześcijańscy czy niechrześcijańscy rzadko zapominają do tego stopnia o swojej „godności”; sprawa jednak staje się poważna wówczas, gdy owo haniebne zapomnienie, wzbudzające protest każdego człowieka, może wywołać jako teoretyczne usprawiedliwienie zasadniczy błąd: bardzo ograniczoną koncepcję na temat materializmu w ogóle, zaś radykalnie fałszywą koncepcję na temat materializmu dialektycznego w szczególności.

Są to te „błędy”, które doprowadziły Leona Bluma do odepchnięcia materializmu i do czynienia wyrzutów materialistom, iż używają oni „środków, które poniżają ludzkiego ducha”. To ideologiczne poślizgnięcie się zaprowadziło go wprost na pozycję katolickiego spirytualizmu, do czego Blum dotarł zresztą w sposób zupełnie naturalny, zarówno w dziedzinie politycznej jak i praktycznej, wyrzekając się „walki klas”.

Są to te same koncepcje, które kazaly Mauriacowi pisać o:

więzieniu materialistycznym, gdzie niektóre umysły z takim trudem walczą dzisiaj przeciwko podporządkowaniu myśli, przeciwko tepocie, nienawiści i beznadziejności (Figaro, 23 kwietnia 45).

W tych wszystkich zdaniach odnajdujemy echo licznych złorzeczeń papieża przeciwko komunizmowi. W r. 1846 Pius IX wypowiedział słowa uroczystego potępienia, potwierdzonego później w „Syllabus” przeciwko

tej niegodnej doktrynie, która zwie się komunizmem, całkowicie przeciwnej naturalnemu prawu; podobna doktryna, raz dopuszczona, stałaby się przyczyną całkowitej ruiny wszystkich praw, instytucji, własności oraz samego społeczeństwa ludzkiego.

(Encyklika „Qui Pluribus”, 9.9. 1846)

Leon XIII w swojej encyklice „Quod Apostolici muneris”, określił komunizm jako

śmiertelną zarazę, która atakuje sam rdzeń społeczności ludzkiej po to, by ją zniszczyć.

Pius XI podejmuje w swojej encyklice „Quadragesimo Anno”, w roku 1931, najbardziej ograniczone kalumnie antykomunistyczne i antysowieckie, wymyślone przez faszyzm i przez Hitlera:

Pewna część socjalizmu przekształciła się w komunizm. Tam, gdzie komunizm osiągnął władzę, okazał się dziki i nieludzki w takim stopniu, iż zaledwie można w to uwierzyć; graniczy to już niemal z czymś nieprawdopodobnym, jak o tym świadczą niesłychane masakry i ruiny, które komunizm nagromadził w niezmiernych krajach Europy wschodniej i Azji... Nie sądzimy, by było rzeczą konieczną przestrzegać wiernych i dobrych synów Kościoła o bezbożnej i niesprawiedliwej naturze komunizmu.

Wreszcie 19 marca 1937 roku Pius XI poświęcił zmartwychwstałemu widmu „człowieka z nożem w zębach” specjalną encyklikę „Divini Redemptoris”, „o komunizmie bezbożnym”. Wyklinając tę „plagę szatańską”, papież pisał:

Komunizm okrada człowieka z jego wolności — duchowej podstawy, jego moralnego postępowania; odbiera osobowości ludzkiej to wszystko, co stanowi o jej godności, to wszystko, co się sprzeciwia w imię moralności najzwyklejszym instynktom. Jednostce wobec kolektywu nie przyznaje się żadnego z praw, które są naturalnymi prawami ludzkiej osobowości; osobowość w systemie komunistycznym jest tylko kółkiem w maszynie... gdy w sercach ludzkich zaciera się nawet sama idea Boga, wówczas ich wyzwolone namiętności pchają ich ku najdzikszemu barbarzyństwu... Nawet w dziedzinie ekonomii nie można się obyć bez moralności, bez moralnego uczucia odpowiedzialności, dla którego nie ma miejsca w systemie tak materialistycznym, jak komunizm. Aby je utrzymać, konieczny jest terror — taki, jak go widzimy

teraz właśnie w Rosji, gdzie dawni towarzysze konspiracji i walki wyniszczają się wzajemnie; terror, który, jeśli będzie trwał, nie potrafi okiełznać moralnego zepsucia, ani nawet przeszkodzić dezorganizacji struktury społecznej.

Oto jest prototyp wszystkich prostackich kampanii antykomunistycznych i antysowieckich.

Wobec kłamstw i kalumni jednych, wobec błędów i niewiedzy innych, wydaje się rzeczą konieczną, by określić dziś moralność marksistowską.

1) Materializm dialektyczny pozwala nam przeprowadzić krytykę różnych systemów moralności:

a) wykazując w ich teoretycznych zasadach ukrytą metafizykę,
b) tłumacząc ich praktyczne przepisy przy pomocy socjologii i historii.

2) Materializm dialektyczny pozwala nam na skonstruowanie naszych zasad postępowania:

a) jako materialistów, opierając je nie na objawieniu lub metafizyce, lecz na wiedzy,
b) jako dialektyków, nadając naszej świadomości i wytkniętemu przez nas zadaniu ich pełny sens i skuteczność.

(d. c. n.)

Roger Garaudy

KONSTANTY GRZYBOWSKI

Jeszcze o problemach uniwersyteckich

I.

SAMORZĄD nauki uważa się za ośrodek do osiągnięcia wolności nauki. Słusznie. Ale wolność nauki nie jest celem. Jest tylko środkiem do celu: postępu nauki. Wolność nauki ma zapewniać swobodną wymianę wszelkich poglądów naukowych, swobodny dopływ sił naukowych, swobodę badań naukowych dla każdego pracownika naukowego i równą dla każdego możliwość wpływu na całokształt nauki.

Jeśli więc mimo istnienia samorządu nauki i wolności nauki postęp nauki wydaje się wątpliwy — musi być coś niewłaściwego w konstrukcji środków, prowadzących do tego celu. Albo wolność nauki nie jest pełna, albo samorząd nauki jest źle skonstruowany, albo jego funkcjonowanie jest wadliwe.

Wydaje mi się, że w Polsce odgrywają pewną rolę te wszystkie trzy przyczyny.

Nie ma pełnej wolności nauki. Wolność nauki polega na pełnym równouprawnieniu wszelkich poglądów naukowych o ile są rzeczywiście naukowe, oraz na pełnym równouprawnieniu wszystkich pracowników nauki o ile są rzeczywiście pracownikami nauki. Tymczasem w Polsce do dziś dnia istnieją poglądy naukowe „pierwszej klasy” i poglądy naukowe „tolerowane”, naukowcy „pierwszej klasy” i naukowcy „tolerowani”. Z pewnością — żaden pogląd naukowy nie ma już zamkniętych zupełnie możliwości, ale około niektórych (np. marksizmu) roztacza się dotąd aura dyskretnej niechęci, konkretnego braku pomocy ze strony czynników faktycznie dużo mających do powiedzenia. To, jest kwestia atmosfery — tego nie można zmienić ustawą — ale to jest hamulec.

Z pewnością — formalnie wszyscy naukowcy, od chwili habilitacji są równouprawnionymi członkami korporacji uniwersyteckiej. Ale jeśli — choć nie wszędzie i nie zawsze — odróżnia się „starych profesorów”, którym przysługują decydujące prawo prezenty na stanowiska w samorządzie nauki, a odmiennie stanowisko innych uważa się za „niekoleżeńskie” i „przeciwne dobremu obyczajom” — to istnieją naukowcy „pierwszej klasy” i naukowcy „drugiej klasy”. I to jest znowu nie kwestia ustawy,

tylko kwestia obyczajów. Obyczaje nieraz trudniej zmienić niż ustawę, choć zmiany obyczajów spotykają się nieraz z ostrzejszym sprzeciwem, niż chęci zmiany ustawy. A zmiana ustawy bez zmiany obyczajów niewiele zdziała.

Nie ma również samorządu nauki. Mamy jedynie samorząd poszczególnych wyższych uczelni, w którym prawo współrządzenia ma tylko część pracowników naukowych. Samorząd nauki wymaga centralnego organu, który by obejmował całość zagadnień — tego nie ma. Samorząd nauki wymaga, by wszyscy pracownicy nauki mieli w nim współudział — oczywiście nie po równo, ale zależnie od roli, jaką w nauce zajmują, od hierarchii swej na szczeblach pracy naukowej. Nie widzę różnicy w hierarchii, od habilitacji począwszy — a widzę różnicę we wpływie na samorząd nauki. Widzę w młodszych pracownikach naukowych, adiunktach, asystentach także pracowników nauki — a nie widzę żadnego ich udziału w samorządzie nauki. Widzę wśród studentów wielu, którzy się świadomie przygotowują do tego, by byli pracownikami nauki, uważam za obowiązek szkoły akademickiej, by każdego przygotowała do umiejętności samodzielnego myślenia naukowego — a nie widzę, by oni mieli prawo głosu w sprawach samorządu nauki.

Nawet zaś ten samorząd, który istnieje w ustawie, inaczej wygląda w praktyce. Mówi się, że wyższe uczelnie mają tylko samorząd, nie mają autonomii. Tak jest formalnie. Faktycznie ustawę obrosły stare, nieraz odwieczne zwyczaje i obyczaje, które w rezultacie dają faktycznie zmiany ustawy. Jest dobrze, jeśli zwyczaje uzupełniają ustawę i wiążą ją z postępem życia. Jest dobrze, jeśli się szanuje tradycje. Ale nie jest dobrze, jeśli się szanuje tradycje i akceptuje je niezależnie od tego, czy istnieją jeszcze sens jej utrzymania. I jest niedobrze, jeśli tradycja wykrzywia zasadnicze linie ustawy, hamuje postęp nauki. Przykłady: przepisy ustawy o szkołach akademickich nakładają na te szkoły obowiązek przeprowadzenia habilitacji, obowiązek wzięcia na siebie odpowiedzialności za wynik także negatywny. Tymczasem czasami tego się nie robi. Jeśli jest kandydat, przeciw któremu niema zastrzeżeń perso-

nalnych, ani zastrzeżeń naukowych, a który byłby „niemiłym”, to się jego podania nie załatwia — a kandydat po roku czy dwóch czekania na przeczytanie pracy zrozumie — i zrezygnuje. To nie jest obyczaj, który by się przyczyniał do postępu nauki.

Przykłady: są ludzie, którzy nie mają tytułów naukowych, a których wkład w naukę jest wielki. Nie ma przeszkód w ustawie by ich dopuścić do pracy na wyższych uczelniach. Mieczysław Niedziałkowski wniosł do polskiej myśli ustrojowej więcej niż wielu habilitowanych docentów: jego praca o „Teorii i praktyce socjalizmu” jest więcej warta od wielu prac habilitacyjnych. Ale kiedy Władysław Leopold Jaworski chciał wyzyskać jego wiedzę i doświadczenie — mógł to uczynić tylko w Krakowskim Towarzystwie Ekonomicznym, a nie na Uniwersytecie Jagiellońskim. Do Niedziałkowskiego nie przeszedł przez obrzęd, którego ustawa nie uważa za konieczny, ale który obyczaj uważa za niezbędny. Nieco się od tego czasu zmieniło, ale jeszcze za mało.

II.

Nie wszystko można zmienić ustawą. Wiele trzeba zmienić w obyczajach, a to wymaga więcej odwagi cywilnej i więcej codziennej wytrzymania, niż zmiana grubszej części ustawy. Ale drogę do zmiany może zakreślić tylko zmiana ustawy. Powinna ona:

1) stworzyć centralną instytucję, kierującą nauką polską. Ta instytucja powinna obejmować nie tylko ludzi nauki, ale i ludzi życia społecznego. Powinna być centralną komórką „zamówienia społecznego” pod adresem nauki. Powinna obok czynnika pochodzącego z nominacji zawierać czynnik pochodzący z wyboru przedstawicieli poszczególnych gałęzi nauki. Nie powinna być zbyt liczna.

2) Zreformować sposób dobierania pracowników naukowych. Centralna instytucja kierująca powinna być — co najmniej — instancją odwoławczą, jeśli wynik habilitacji wypadnie ujemnie, powinna być instytucją przeprowadzającą habilitację, jeśli wyższa uczelnia w określonym terminie habilitacji nie ukończy,

Ten punkt — pozbawienie szkół wyższych monopolu habilitowania — sięga może najgłębiej w tradycyjny ustrój. Uzupełnianie terr, który, jeśli będzie trwał, nie potrafi okiełznać moralnego zepsucia, ani nawet przeszkodzić dezorganizacji struktury społecznej.

3) Zreformować skład osób współrządzących w samorządzie wyższych uczelni: Równouprawnić docentów i profesorów. Dopuszczyć do decydującego współudziału delegatów starszych (np. po dwóch latach) pomocniczych sił naukowych. Dopuszczyć z głosem doradczym przedstawicieli młodzieży.

4) Jeśli już koniecznością jest częściowe zawieszenie samorządu szkół wyższych — ograniczyć to do jak najkrótszego okresu czasu.

Nie powinna natomiast ustawa moim zdaniem:

1) wprowadzać — choćby przejściowo — usuwalność profesorów. Nie tylko dlatego, że pracowników naukowych nie mamy. Także dlatego, że choćby usuwalność była traktowana w praktyce jako coś najzupełniej wyjątkowego, wprowadzenie jej musi wywołać zmniejszenie się dopływu kandydatów do zawodów naukowych. Ten ujemny wpływ psychologiczny unicestwiłby wszystkie faktyczne korzyści. Z pewnością — jest wielu profesorów, którzy oddawna

przestali pracować naukowo. Z pewnością — są profesorowie, którzy wolność nauki uważają za osłonę niezawsze mądrej propagandy politycznej. Ale lepiej w takich przypadkach stworzyć przejściowo podwójną katedrę tego samego przedmiotu, dobrze ją obsadzić, na nią przelać prawo egzaminowania (a w praktyce — wiemy — studenci chodzą na wykłady tego, który egzaminuje).

Ustawa przewiduje podporządkowanie dyrektora administracyjnego władzy organów samorządowych. Stworzenie organu, który prowadzi całą administrację uczelni wyższej i jest za nią odpowiedzialny wydaje się celowe (i dziś istnieje faktycznie taka osoba — sekretarz wyższej uczelni, ale jest nieodpowiedzialna). Nie można jednak tak interpretować ustawy, by w praktyce powstał dualizm kierownictwa i w praktyce dyrektor administracyjny był niezależny od rektora.

III.

Charakter nauki polskiej w przyszłości zależy od selekcji przyszłych naukowców. Twierdzenie, że ich dotychczasowa selekcja była socjalnie jednostronna, jest w dużej mierze słuszne, choć często ujmowane przesadnie. W najliczniejszych klasach społecznych — chłopskiej i robotniczej — marowało się wiele talentów, które przy skierowaniu na drogę naukową okazały się cennymi. Ten wzgląd wydaje mi się decydującym. Obok zmiany struktury polskiej inteligencji — względu społecznego — dopływ świeżej krwi do nauki polskiej — wzgląd niemal biologiczny.

Ale tu nie pomogą decydująco żadne ustawy. Syn chłopski i syn robotniczy pójdzie na wyższą uczelnię, pójdzie później na zawód naukowca, jeśli go będzie na to stać i jeśli mu się to opłaci. Będzie go na to stać, jeśli dochodowość produkcji rolnej będzie wystarczająca — odnośnie do chłopów zamożniejszych, jeśli państwo zapewni mu możliwość egzystencji w czasie studiów — co do synów niezamożnych chłopów i robotników. Jak długo jednak miesięczna studencka karta tramwajowa będzie odpowiadała 1/3 stypendium — tak długo pomoc państwa jest fikcją.

Nie można jednak czekać, aż państwo będzie w stanie zapewnić potrzebną odpowiednią ilość stypendiów. Musi się

znaleźć wyjście. Czy nie byłoby nim wprowadzenie opłat studenckich? Nie jest rzeczą moralną i nie jest rzeczą demokratyczną, by wszyscy byli od nich zwolnieni. Powinien je płacić ten kogo na to stać i ten, kto z nauki nie korzysta. Gdyby np. żądać od każdego wpisującego się na wyższe studia przedłożenia wymiaru podatku dochodowego rodziców (a czasem i własnego) i nakładać opłaty na osoby, których dochód przekracza pewne minimum, gdyby nakładać opłaty na studentów, którzy nie zdali egzaminu i chcą się ponownie zapisać — a te fundusze przeznaczyć na stypendia, byłoby to nie rozwiązaniem zagadnienia napewno, ale zbliżeniem się do pewnego rozwiązania. Gdyby nałożyć na każdą gminę wiejską i na każdy związek zawodowy powyżej pewnej liczby członków obowiązek ufundowania jednego stypendium dla syna chłopskiego z danej gminy lub syna robotnika z danego związku — byłoby to dalszym krokiem. Gdyby partie polityczne czyniły swymi funkcjonariuszami w miastach uniwersyteckich zdolnych synów chłopskich i robotniczych — byłoby to także środkiem.

Nie można — jeśli się chce rzeczywiście demokratyzować skład społeczny inteligencji polskiej, likwidować „roku wstępnego”, należy go raczej rozbudować. Mam z tym typem studentów pewne doświadczenia w Wyższej Szkole Nauk Społecznych TUR. Najlepszy dotąd egzamin — to był młody górnik z Brzeszcza o ukończonej szkole powszechnej. Nie miał pojęcia o terminologii naukowej, ale rozumiał każde zagadnienie. Terminologii naukowej nauczy się w ciągu studiów, świeżość umysłu mu zostanie.

IV.

Nowa ustawa o organizacji nauki i szkół wyższych to jeszcze nie wszystko. To dopiero nowy schemat organizacyjny. Zagadnienie zaś — zdaje mi się — sięga głębiej. Zagadnieniem istotnym jest: czy ten klasyczny podział „nauk” i odpowiadający mu podział na „szkoły” i „wydziały”, w swej obecnej postaci recepcja z Francji Napoleona I, jest dziś celowa. Od tych stu kilkudziesięciu lat powstało wiele nowych dyscyplin naukowych, ujawniło się wiele związków między dyscyplinami naukowymi, których dawniej nie widziano. Na rastającym w tej długiej epoce potrzebom zaradzano czymś, co możnaby określić ja-

ko „prowizoryczne łącanie” starego gmachu, który nie odpowiada nowoczesnym potrzebom. Dlaczego np. ekonomia znalazła się na wydziałach prawnych, a socjologia na wydziałach humanistycznych? Chyba tylko dlatego, że Durkheim był filozofem, Francuzi zaszerogowali jego naukę do Wydziału, z którego wyszedł, a inni, nie wiele myśląc, naśladowali ten system. Dlatego socjologia znalazła się na wydziałach filozoficznych, tak jakbyśmy ją rozumieli podobnie jak w przedhistorycznej epoce Victora Cousina. Nowe przegrupowanie nauk i działów nauk wydaje się rzeczą pilną. To co robi — i pożytecznie robi Rada Szkół Wyższych, to są nowe programy nauczania w obrębie istniejącego ugrupowania nauk i to się wystarczy. Byłoby dobrze sięgnąć w tej mierze do nowych prób francuskich, choćby do koncepcji Lucjana Febvre, który wldzi w przyszłości sześć wielkich „centrów studiów”. Centrum studiów matematycznych Centrum studiów fizycznych i chemicznych. Centrum studiów „planetarnych” (geofizyka, geologia, astrofizyka, chemia, astronomia). Centrum studiów biologicznych i biogeograficznych. Centrum studiów antropologicznych (tu znajduje się i medycyna). Centrum studiów humanistycznych, socjalnych, kulturowych (to ostatnie w trzech sekcjach — „ouillage humain” (a więc psychologia, lingwistyka, technologia cywilizacji); społeczeństwo ludzkie (geografia człowieka, morfologia, demografia), struktura i instytucje polityczne, gospodarcze, socjalne; cywilizacja).

Zagadnienie nowego ugrupowania nauk — takiego by każde z nich stanowiło całość, dawało pogląd na pewną całość jest równie pilnym jak zmiana struktury organizacyjnej szkół wyższych i zmiana programów nauczania. Jest zaś o wiele trudniejsze. Powinno stać się jednym z pierwszych zagadnień, które staną przed przyszłą Radą Nauki i Szkół Wyższych.

V.

Na odcinku nauki polskiej nie jest dobrze. Ale należy przy wszystkich zmianach na tym odcinku pamiętać o dwóch rzeczach. Pierwsza: nauka jest rzeczą niezmiernie delikatną, uczeni są ludźmi niezmiernie — jeśli tak można powiedzieć — płochliwymi. Każda niezręczność może zniszczyć warsztat pracy naukowej, może zniechęcić do pracy człowieka. Należy być

ostrym w wykazywaniu błędów, ostrożnym w metodach naprawy. Można wprowadzić zburzyć, a potem budować od nowa — ale na to nas nie stać, choćby ktoś uważał to za wyjście szybciej prowadzące do celu. A jeśli się nie chce burzyć — trzeba uważać, by nie zburzyć wbrew własnej woli. Równocześnie zaś — trzeba uważać, by krytyką tego, co należy krytykować nie podkopać autorytetu nauki w społeczeństwie. Jeśli każdy dziennikarz będzie uważał za swój obowiązek, jeśli każdy agitator na wiecu będzie uważał za swe święte prawo krzyknąć o „faszyzmie” na uniwersytetach polskich — to taka metoda walki o demokratyzację szkół wyższych nie przyczyni się do ich rzeczywistej demokratyzacji. Więcej dia niej uczynią ci, którzy dorobek pracy tej nauki będą popularyzować. Jak dotąd — znam tylko trzy pisma, które to czynią. „Dziennik Zachodni” spełnił ten swój obowiązek wobec uniwersytetu warszawskiego. „Naprzód” i „Trybuna Robotnicza”, spełniają go wobec wyższych uczelni Krakowa.

Czas by zaczęła to czynić prasa pomorska, poznańska, warszawska. Demokratyzacja nauki polega nie tylko na tym, że uczony wchodzi w społeczeństwo. Polega także na tym, że społeczeństwo interesuje się uczyonym. Tymczasem przeciętny dziennikarz polski zna z pewnością nazwiska i biografie gwiazd kinowych, mistrzów sportu — ale, który z nich wie, do jakiego uczonemu się zwrócić, nim się napisze niemądry komentarz do niemądre przekręconej depeszy zagranicznej. I który z nich myśli, by przyjść z wywiadem do zakładu naukowego i spełnić w ten sposób swój obowiązek wobec nauki polskiej — informować jak pracuje i w jakich warunkach pracuje.

VI.

Nauka nie znosi długich okresów prowilozium. Reforma jest potrzebna, ale szybka reforma. Niektórzy rozumieli jej potrzebę już przed wojną, mówi się o niej już od dwóch lat. Trzeba działać prędko. Trzeba prędko stworzyć nowe ramy, tak by wiadomem było w jakich ramach nauka ma się rozwijać, by uczoney wiedział, na jakich podstawach pracuje. Czasem szybka reforma jest cenniejsza niż idealnie doskonalona reforma.

Konstanty Grzybowski

JAN KOTT

GORZKIE OBRACHUNKI

Żeby jednak wszystko zupełnie tak się działo, jak to opisałem, tego rozsądny człowiek nie powinno utrzymywać nie może, ale warto mieć odwagę wypowiedziania tych twierdzeń, gdyż jest to piękna odwaga.

(Platon)

FILOZOF I MONARCHA

TO BYŁA piękna odwaga i piękne marzenia. Dokonać wyboru stu najlepszych książek spośród klasyków piśmiennictwa światowego, dokonać wyboru w sposób mądry, trafny i odważny, aby założyć fundamenty pod nowy typ kultury ludowej; harmonijny, optymistyczny, twórczy; dokonać świadomie wyboru wzorów kulturalnych: mistrzów, genealogii, stylu. Zaopatrzyć te książki w przedmowy, napisane przez ideologów nowych ruchów ludowych, w przedmowy, które by pokazały zmienność ideałów historycznych, gorycz klęsk i wielkość zwycięstw postępu, które by wydobły na jaw żywą współczesność klasyków i ich tężyźnię intelektualną, wszystko, co zawierają z dojrzałej wiedzy o życiu społecznym, wszystko, co może nadal rewolucjonizować myśl ludzką. Wydać te sto wybranych książek w wielkich nakładach, idących w setki tysięcy egzemplarzy, zamiast drukować tysiące książek miernych lub lichych w nakładach parotysięcznych. Rozprowadzić ich nakład po całym kraju przy pomocy wszystkich środków aparatu państwowego, zainicjować nad nimi publiczne dyskusje i zmusić do ich czytania przy pomocy presji społecznej. Tak parę wieków temu Lorenzo II Magnifico zmuszał swoich kucharzy do czytania „Logiki” Arystotelesa; twierdził, że inaczej nie smakują mu ich potrawy.

To było piękne marzenie, aby w kraju zwycięskiej rewolucji społecznej, w kraju, który przeszedł przez faszyzm i wojnę, w kraju, w którym nie było bibliotek, czytelnicy i książki ludność otrzymać na kartki, po szybkim cenie razem z pierwszą parą butów i puszki smalcu amerykańskiego dzieła Szekspira lub Balzaka.

To było piękne marzenie, marzenie filozofa, który zamiast historycznego społeczeństwa widział przed sobą abstrakcyjną próżnię społeczną, który sześć lat przesiedział samotnie w jaskini nad lekturą powiastek moralnych Diderota i Woltera. Filozof ludził się, że udostępnienie masom ludowym dojrzałych wzorów kultury może nastąpić w drodze arbitralnego dyktatu oświeconego monarchy absolutnego.

Monarcha nie był ani absolutny, ani oświecony. Marzenia filozofa nie liczyły się z oporem materialnej rzeczywistości, z konkretną, złożoną i antagonistyczną sytuacją kulturalną klasowego społeczeństwa. Nowy styl kultury wyrosnąć mógł jedynie z nowych form życia społecznego, które przyniosła emancypacja mas ludowych. Ale zwycięstwo ludu nie jest jeszcze końcem walk klasowych.

Monarcha nie był absolutny. Należało mu dać przede wszystkim możliwości działania. Stąd prymat zagadnień organizacyjnych, a nawet tylko technicznych w naszej polityce kulturalnej. W pewnym okresie szło po prostu o stworzenie dostatecznie sprawnej bazy materialnej i technicznej, która by uniezależniła gospodarkę dobrami kultury od prywatnego aparatu pośrednictwa, dążącego do osiągnięcia maksymalnego zysku. Szło o całkowite lub częściowe oddanie prasy i agencji informacyjnych, kin, radiu i filmu, wydawnictw, drukarni i gospodarki papierem w ręce przedsiębiorstw państwowych, instytucji społecznych, naukowych i oświatowych, partii politycznych i organizacji młodzieżowych. Szło dalej o stworzenie aparatu administracyjnego, który by zajął się opieką nad zbiorami i zabytkami, rozprawianiem funduszy państwowych, przeznaczonych na cele kultury i w miarę możliwości kontrolę nad ich wykonaniem. Szło wreszcie o zakresienie dostatecznie szerokich ram organizacyjnych dla artystycznych związków zawodowych, które by umożliwiły im przynajmniej potencjonalnie wpływ na politykę kulturalną.

Czy zadania te zostały spełnione? W znacznej mierze, tak. Monarcha przestał być bezsilny. Czy był to program uludowienia kul-

tury z jego naczelnym postulatami zniszczenia „możyc kulturalnych” pomiędzy miastem a wsią, pomiędzy arystokratyczną kulturą inteligencji a kulturą innych warstw społecznych. Nie! Było to jedynie stworzenie narzędzi dla przyszłej polityki kulturalnej albo innymi słowy dla planowania w kulturze. I tylko bardzo naiwni politycy ludził się mogli, że państwowa gospodarka sama przez się doprowadzi do ułożenia sensownego planu wydawniczego, że w państwowych drukarniach i spółdzielczych wydawnictwach drukować się będą jedynie wzorowe podręczniki historii i arcydzieła postępowej literatury.

Monarcha przestał być bezsilny, ale pozostał nieoświecony. Po blisko trzech latach działalności ani Ministerstwo Kultury i Sztuki ani partie polityczne, ani związki artystyczne, ani instytucje oświatowe nie mają planu ofensywy kulturalnej, planu zmiany struktury życia kulturalnego w Polsce. Życie kulturalne rozwija się poprzez instytucje społeczne. Otóż jestem głęboko przekonany, że jeżeli w ciągu roku lub dwóch nie zdobędziemy się na planowe i systematyczne przekształcenie istniejących instytucji wymiany kulturowej i na stworzenie nowych, kapitał społeczny i państwowy gospodarujący dobrami kultury będzie musiał, chcąc czy nie chcąc, postępować identycznie jak kapitalista prywatny. Narzędzie, które zdobyliśmy obróci się przeciwko nam samym.

Nie chcę być ani sprawiedliwy, ani bezstronny. Przeciwnie: chcę być niesprawiedliwy. Chcę w tych z konieczności fragmentarycznych uwagach wskazać na to, co wydaje mi się najbardziej groźne; groźne, ponieważ pogłębia izolację inteligencji. A pamiętajmy, że ghetto inteligentckie nie jest jedynie sprawą zasięgu wymiany kulturowej. Ghetto determinuje treść kultury. Inteligentckie ghetto tworzy kulturę arystokratyczną, nie twórczą, nie produktywną.

Przykłady:

Przeciętna cena książki dochodzi do zł. 500.—

Wydawcy zapowiadają ograniczenie ich nowego pierwszego nakładu powieści do

3.000 egzemplarzy. A więc jeszcze do wysokości nakładu przedwojennego.

Przeciętna liczba sprzedanych w ciągu miesiąca egzemplarzy książek Meissnera, czy Fiedlera przewyższa tysiąc, wznowień Balzaca czy Diderota nie dochodzi do stu. Nie uważam, aby była szkodliwa czy groźna popularność książek Meissnera czy Fiedlera, groźny jest natomiast niewątpliwie brak społecznego odbioru dzieł klasyków.

Słyszę już głosy: człowiek; człowiek! Dopóki nie narodzi się wielu pisarzy ludowi i nie zmieni się psychika czytelnika, nie zmieni się i Czytelnik przez duże C, gospodarka papierem, Ministerstwo Kultury, nakłady książek. Nieprawda! Zdaje sobie sprawę z odrębności praw, rządzących procesami gospodarczymi i kulturalnymi, nie chce popadać w wulgaryzm ekonomiczny ale wiem, ile nauczyć się może działacz oświatowy, studiujący ekonomię. Planowanie jest tylko wtedy skuteczne, jeżeli panuje się nad wielkością procesów, zachodzących w danej dziedzinie życia społecznego. Już dotychczasowe doświadczenia naszej polityki gospodarczej pokazały, jak dalece niezorganizowany i anarchiczny aparat wymiany i handlu może skutecznie paraliżować osiągnięcia planowej produkcji.

I jeszcze jeden przykład: państwo ludowe nie może działać sprawnie, o ile jego administracyjny aparat jest wrogi, nieudolny lub zdemoralizowany. Czy z tego wynika, że należy czekać z przeprowadzeniem reform społecznych, póki się nie wyszkoli nowych kadr administracji? Nie! państwo ludowe szkoli i wychowuje swoje kadry, przeprowadzając reformy.

Te same prawa obowiązują w dziedzinie polityki kulturalnej. Zmiana sytuacji kulturalnych zmienia treść kultury. O społecznej, klasowej treści kultury rozstrzygają bowiem przede wszystkim dwa momenty: zasięg krążeńia dóbr kulturalnych oraz kto je zamawia i dla kogo są one przeznaczone. Zmiana sytuacji kulturalnych wychowuje odbiorcę, kształtuje świadomość artysty. Błędem najszej polityki kulturalnej nie jest nadmiar

MELANIA KIERCZYŃSKA

Z ZAGADNIENIŃ REALIZMU

I.

JAKŻE często zdarza się, że książka przeczytana czy sztuka, którą oglądaliśmy w teatrze, budzi w nas emocje wybitnie sprzeczne.

Z jednej strony czujemy, że mamy do czynienia z rzetelnym dziełem sztuki, znajdujemy się pod silnym, niekiedy niezatarłym, wrażeniem, z drugiej strony przeżywamy wyraźny i nierzadko silny sprzeciw wewnętrzny, mamy bardzo intensywne poczucie wewnętrznej niezgody ze stanowiskiem autora, bądź w treści, bądź w mniej lub bardziej istotnych jego składnikach. A przecież stanowisko to zostało wyrażone w tych samych postaciach, sytuacjach, wydarzeniach, z których płynęło owo niezaprzeczalnie sugestywne oddziaływanie przeczytanej powieści czy utworu scenicznego, na który patrzyliśmy.

Inaczej mówiąc: te same postacie, sytuacje, wydarzenia oddziałują na nas jednocześnie tkwiącą w nich prawdą i budzą sprzeciw zawartą w nich nieprawdą.

W zaznaczonym powyżej stanie rzeczy tkwi jeden z bardzo istotnych problemów sztuki, mianowicie tajemnica pełnego sprzeczności oddziaływania wytworów artystycznych, w szczególności utworów literackich.

Mamy prawo, przynajmniej do pewnego stopnia, mówić tu o tajemnicy, bowiem nie zawsze zdajemy sobie z istoty tego zjawiska sprawę w sposób konkretny i jasny.

W rozważaniach, zmierzających do wniiesienia w tę sprawę większej jasności, punktem wyjścia, którego tu uzasadnić nie będę, a którego uzasadnienie dają prace klasyków marksizmu, traktujące o powstaniu i roli nadbudowy ekonomicznej, będzie marksistowskie ujęcie literatury, jako jednej z dziedzin ideologicznej nadbudowy, wyrastającej w ostatecznej instancji z przemian w stosunkach wytwórczych i społeczno-politycznych, w szczególności z każdorazowo nowego etapu walki klasowej.

Ten zasadniczy aspekt ujęcia literatury i jej rozwoju — oparcie badań historyczno-teoretyczno-literackich o materializm historyczny, o marksowską dialektykę materialistyczną, okazał się jedynie płodnym aspektem dla osiągnięcia jaknajpełniejszego wglądu w to wszystko właśnie, co stanowi cechę wyróżniającą literatury, mianowicie w jej specyficzne, m. in. formalne, zjawiska i przemiany.

Zaraz na wstępie zastrzec należy, że problem poruszony na samym początku odnośnie wyłącznie do literatury społeczeństw klasowych.

II.

W trakcie pisania „Eugeniusza Oniegi-na“ Puszkina miał się wyrazić, że jest zaskoczony fatem, iż Tatiana odrzuciła Oniegi-na.

„Nigdy bym się tego po niej nie spodziewał“ — miał oświadczyć Puszkina.

Tolstojowi, któremu powtórzono te słowa poety, sprawiły one podobno rzetelną przyjemność. Jako wielki realista, Tolstoj zdawał sobie sprawę z tego, że władza prawdziwego artysty, szczególnie pisarza-realisty, nad stworzoną przez niego postacią jest dość ograniczona. W całej pełni ma tu zastosowanie znane powiedzenie Marksa, że wolność — to uświadomiona sobie konieczność. Artysta tworzy postać świadomie w tym tylko sensie, że przy raz obranym punkcie wyjścia, przy danym charakterze społecznym postaci, zarówno jak otaczającej ją rzeczywistości, a także ustalonym jej typie psychicznym, artysta uświadamia sobie konieczne rysy jej oblicza i prawa jej rozwoju. Tolstoj zdawał sobie w całej pełni sprawę z siły nacisku rzeczywistości na postać literacką.

Jeżeli mówimy o sile nacisku rzeczywistości, zakładamy istnienie, a w każdym razie możliwość pewnej sprzeczności między tendencją pisarza do wyposażenia postaci w takie czy inne rysy, a swoistym „placet“, jakie obserwowana przez niego i znana mu w doświadczeniu rzeczywistość tym rysom używa.

Różne bywa natężenie tej sprzeczności, i różna — wypadkowa starcia się tych sprzecznych sił, ale źródłem sprzeczności jest tu zawsze fakt, że pisarz tkwi w aurze klasowo uwarunkowanego widzenia rzeczy.

Upraszczeniem sprawy byłoby widzieć w pisarzu jakieś medium klasy, z której pochodzi, wulgaryzującą marksizm byłoby

twierdzenie, że pogląd na świat pisarza jest uwarunkowany przez jego pochodzenie społeczne, pisarz może bowiem wznieść się, a wielki pisarz wznosi się zasadniczo zawsze ponad widzenie spraw zakreślone horyzontem i interesami jego klasy. W wyniku tego bywa nawet, że pisarz patrzy na otaczającą go rzeczywistość z pozycji nie własnej klasy, ale reprezentuje najbardziej ogólnoludzkie, najbardziej postępowe tendencje swojego wieku.

To wszystko tak. A jednak literatura jest ideologiczną nadbudową, klasowo uwarunkowaną sympatią i tendencją twórcy związanego swoimi zapatrywaniami i upodobaniami np. z ziemiaństwem lub burżuazją, powodującą naogół wypaczenie i zniekształcenie w kształtowaniu postaci i zdarzeń.

Jednakże u pisarza-realisty jego ciężenie do zachowania prawdy obrazów, ciężenie do zachowania ich zgody z rzeczywistością, będzie wnosilo swoistą korektę, niwelując w pewnej mierze właściwości jego poglądu na świat, niesprzyjające obiektywnie słusznemu kształtowaniu obrazów.

Natomiast pisarz, odwracający się od realistycznej metody twórczej, świadomie i celowo deformujący rzeczywistość (ponad konieczną tkwiącą w samej istocie sztuki miarę), pisarz, który szuka środków wyrazu artystycznego możliwie mało zahaczonych o dany nam w naszym doświadczeniu zewnętrznym obraz świata — będzie odczuwał ów nacisk rzeczywistości w stopniu o wiele mniejszym (jakkolwiek nigdy nie równym zeru), tym samym pozbawiony będzie wspomnianej korekty, ulegając tym łatwiej subiektywnym złudzeniom i fałszom.

Tu tkwi może jeden z poważnych czynników wyższości realistycznej metody pisarskiej. Nie oznacza to bynajmniej, że w twórczości realisty, nawet wielkiego realisty, nie znajdziemy zniekształceń rzeczywistości. Metoda realistyczna nie jest talizmanem, chroniącym od wszelkich możliwych tendencji wypaczenia i zniekształcania obrazu rzeczywistości społecznej, nie jest panaceum, neutralizującym całkowicie powzięte z góry, a klasowo uwarunkowane poglądy na rzeczywistość. Można np. wskazać — skoro mowa była o Tolstoj, pozostańmy przy tym przykładzie — na szereg tendencyjnych deformacji oblicza ludzi i spraw w jego „Wojnie i pokoju“. Metoda realistyczna nie jest panaceum, bowiem, jak to wielokrotnie a słusznie w dyskusji nad realizmem podkreślano, mamy zawsze do czynienia z większym lub mniejszym k w a n t u m realizmu, zależnym od siły talentu realistycznego, od zasięgu doświadczenia i szerokości horyzontów myślowych twórcy, a dopiero w ramach działania tych czynników od siły oporu, z jaką klasowo uwarunkowane widzenie świata przeciwstawia się naciskowi rzeczywistości obiektywnej.

W wyniku otrzymujemy dzieło pisarza jako swoistą wypadkową, budzi w nas ono nieraz jednocześnie zachwyt i sprzeciw. Zachwycają nas wówczas naogół walory zrodzone z prawdy i głębi realistycznego widzenia i odczucia rzeczywistości, a sprzeciw budzą te rysy i momenty, w których autor nagiął cechy postaci, przebieg zdarzeń lub inne momenty utworu do niedających się utrzymać i obronić założeń ideologicznych.

Wewnętrzny sprzeciw, o którym mowa, — a mamy na myśli tylko utwory dużej miary — charakteryzuje się tym, że czytelnik czy widz nie może — wobec perfekcji środków artystycznych pisarza lub dramaturga — uświadomić sobie odrzucenia jego źródła, wskazać z całą konkretnością na warunkujące go określone momenty utworu. Sprawa ta wymaga analizy doznanych wrażeń, wyzwolenia się do pewnego stopnia z sugestii utworu, wówczas dopiero źródło owego sprzeciwu daje się skonkretyzować, wyodrębnić.

Gdyby sprawa miała się inaczej, niewielkie byłoby oddziaływanie sztuki w klasowej walce społecznych przeciwieństw, a jest ono jak wiemy, wcale niepoślednie.

Należy tylko uświadomić sobie, jak silna jest tendencja pisarza — rzecz można: mus wewnątrzny, — znalezienia dla stawianych w utworze zagadnień rozwiązania leżącego na linii najistotniejszych, najgłębszych sympatii i przekonań ideowych twórcy, nawet wtedy, gdy odnośnie rysy i cechy, w jakie autor chciałby wyposażać swoje postaci, znajdują słabe oparcie w rzeczywistości. Idzie tu przecież o afirmację uczu-

ciowej postawy życiowej pisarza, mocno osadzonego w społecznej strukturze klasowej, coż dziwnego że pisarz dąży do tej afirmacji nawet w wypadku, gdy trudno jej się ostać wobec przemożnej wymowy życiowych faktów. Całe bogactwo, całą finezję środków artystycznych, jakie pisarz ma w swym rozporządzeniu, zużyje on na to, by osłonić nagość owych najsłabszych, naciągniętych momentów, by stworzyć pozory prawdopodobieństwa i rumieńce życia tam, gdzie rzeczywistość odmawia swego „placet“ na dany obraz czy dany rys postaci. Nie należy zresztą traktować tego, jako procesu świadomego fałszowania rzeczywistości wbrew lepszej o niej wiedzy, byłoby to upraszczaniem rzeczy.

Artysta widzi naogół świat tak, jak go w utworze swym przedstawia ale wyczuje artystyczne wskazuje mu, gdzie trzeba będącymi w jego rozporządzeniu środkami wzmocnić sympatyczne mu akcenty albo osłabić przeciwnie. Żeromski np. nie mógł „równie dobrze“ kazać Baryce przeżywać rewolucję rosyjską w Moskwie zamiast w Baku, materiał stawiał by bowiem wówczas jeszcze większy opór wnioskowi, jakie pisarz usiłował z niego wyprowadzić.

III.

W sporze o wyższość realistycznej metody twórczej odnotować należy ciekawy głos radzieckiego krytyka Dermana. W bardzo interesującym studium „Problemowość jako czynnik twórczości artystycznej“ („Krasnaja Now“ 1940) poświęca on głównie wagę zjawisku tak nazwanej przez niego „problemowości“ utworu.

Derman podkreśla, że proces pisania jest dla twórcy procesem „do wyjaśniania“, uzyskiwania całkowitej jasności spraw, w chwili rozpoczęcia pracy twórczej nie całkowicie i nie we wszystkich momentach jasnych. Bodźcem do pisania jest bowiem bynajmniej nie jedynie chęć daria wyrazu temu, co pisarz uświadomił sobie już uprzednio dokładnie i bez reszty, ale potrzeba wyjaśnienia i sobie — samemu do końca tego, co w chwili zrodzenia się pomysłu poetyckiego zarysowuje się przed pisarzem jedynie mniej lub bardziej mgliście, a co stanowi dla niego sprawę czy sprawę pierwszorzędnej wagi, co jest dla niego życiowo ważnym ideologicznym problemem.

Zbyteczne — a może właśnie wcale nie zbyteczne — odrzuć zastrzec i podkreślić, że sprawa procesu twórczego, jako procesu „do wyjaśniania“ nie ma absolutnie nie wspólnego z uznaniem jakiegos podświadomego elementu w twórczości artysty. Przeciwnie: Derman traktuje proces twórczy jako proces całkowicie i wyłącznie świadomościowy, proces stopniowego uświadamiania sobie we wszystkich szczegółach tego, co w początkowym ogólnikowym pomysle poetyckim nie było w całej konkretności wyraźne i jasne. Obrazy są przecież dla artysty również narzędziem, nie tylko wynikiem poznania.

Jako na jeden z licznych typowych utworów tego rodzaju wskazuje Derman na „Poemat pedagogiczny“ Makarenki, podkreślając, że dopiero w trakcie pisania i w wyniku napisania tej książki, Makarenko uzmysłowił sobie i zrozumiał w całej pełni istotę pracy dokonanej przez siebie w koloniach, które prowadził jako pedagog.

Tego rodzaju utwory, w których autor stawia i rozwiązuje zagadnienia, jakie się w nim rozwiązania domagają, i jakie właśnie jako pisarz tylko drogą napisania danego utworu do końca rozwiązać może, nazywa Derman utworami „problemowymi“, przeciwstawiając im, jako utwory ilustracyjne, utwory teleologiczne, mające jedynie zilustrować gotową już tezę, utwory nie będące narzędziem rozwiązania problemu, lecz jedynie kształtem literackim dla zjawiska, które już przed napisaniem jest dla autora sprecyzowane w sposób mu wystarczający.

Utwory „problemowe“ stanowią zatem swoiste „laboratorium“, w którym z metnogo roztoru jeszcze nieorganizowanej wiedzy o tym, co stanowi przedmiot powieści, noweli, dramatu i t. d., osadzają się względnie ściśle uformowane kryształki jasnego poznania rzeczywistości. Rzecz jasna, że proces poznania nie rozpoczyna się z chwilą, gdy pisarz zasiada przy biurku, lecz o wiele wcześniej, trwa on przez cały czas działalności życiowej, gromadzenia doświadczeń, przyczem proces pisania stanowi ostatecznie, jakkolwiek konieczne dla pi-

sarza i decydujące dlań stadium w osiągnięciu jasności i względnej pełni poznania rzeczywistości.

Wszystkie najwyższe osiągnięcia literatury światowej, podkreśla Derman, są to właśnie utwory „problemowe“. Jako na ciekawy przykład występowania obu wspomnianych typów utworów (przeznaczonych częściej są utwory o cechach mieszanych) w twórczości wielkiego pisarza, wskazuje Derman na fakt, że bezpośrednio przed napisaniem Anny Kareninej, jednego ze swych arcydzieł, Tolstoj napisał utwór sceniczny p. t. „Zarażona rodzina“, będący paszkwilem na tzw. „wolną miłość“. Świetny dramaturg rosyjski, Ostrowski, któremu Tolstoj odczytał ten swój utwór, wyraził się o nim: „Jest to tak straszliwa marnota, że dosłownie puchły mi uszy, gdy słuchałem tego“.

W utworze tym Tolstoj nie był wielkim realistą, nie szukał w obrazach rzeczywistości konkretyzacji idei, któreby domagały się „do wyjaśniania“, nie dorabiał się prawdy w procesie pisania — dał jedynie wyraz sprecyzowanemu z góry, ustalonym, klasowo uwarunkowanym i ciasnym, reakcyjnym, feodalnym poglądom na sprawę miłości i małżeństwa.

Zrozumiał jest tedy ścisły związek, jaki zachodzi między tak ujętą „problemowością“ utworu a metodą realistyczną. Skoro twórczość jest w dużej mierze procesem „do wyjaśniania“, osiągnięcia możliwie pełnej jasności, precyzowania stanowiska społeczno-ideowego drogą kształtowania obrazów rzeczywistości, a nie jest jedynie wyrazem dla już osiągniętych rozwiązań, musi ona być w dużej mierze realistyczna. Pisarz z jednej strony szuka w obrazach rzeczywistości afirmacji dla swoich najgłębszych umiłowanych poglądów, dla swojego klasowego społecznego stanowiska, urabiając odpowiednio postaci i obrazy, ale jednocześnie szuka przecież nie tylko afirmacji, lecz i jasności rozwiązania, bowiem pisarz nie tylko jest i staje się, i tworząc obrazy realistyczne ulega w pewnym stopniu sile prawdy, i to tym bardziej, im usilniej dąży do wierności tworzonych przez siebie obrazów, im mniej jest ciasny, im mniej klasowo ograniczony, im horyzont jego jest szerszy, doświadczenie życiowe różnorodniejsze i bogatsze.

Punkt wyjścia ogólny, niezbyt sprecyzowany — jakkolwiek może bardzo ostry w swym emocjonalnym nasyceniu — daje w zakończonyj realizacji uderzającą konkretność wcielenia pomysłu twórczego — taka jest droga realistycznej twórczości.

Ta realistyczna konkretność, te dążące do życiowej prawdy obrazy, są artystycznie pomocne w ogarnięciu i zrozumieniu rzeczywistości, w zajęciu wobec niej słusznego stanowiska.

Tomasz Mann po napisaniu „Buddenbrooków“ posiadał na pewno bez porównania bardziej pogłębioną znajomość typów społecznych epoki rozkładu niemieckiego mieszczaństwa, oraz słusniejsze rozumienie praw rozwoju społecznego i związane z nim rozwoju ludzkich typów psychicznych, aniżeli w chwili, kiedy przystąpił do pisania tej powieści, i to nie tylko dlatego, że w trakcie pisania studiował, jak należy przypuszczać, najrozmaitsze materiały i dokumenty, charakteryzujące epokę — ale również dlatego, że stworzył realistyczne postacie Christiana i Tomasza Buddenbrooków i szereg innych realistycznych postaci z całym ich codziennym konkretnym, we wszystkich szczegółach uformowanym bytem.

Słusznie podkreśla krytyk i teoretyk literatury, Georgy Łukacz, że Tomasz Mann, właśnie jako realista z prawdziwego zdarzenia, wie dobrze, kim jest pod względem społecznym Christian Buddenbrook czy Tonio Kröger itd. Mann nie potrafiłby może dać ich społecznego rodowodu w sposób abstrakcyjnie — naukowy, ale jako twórca realistyczny, Tomasz Mann wie doskonale, jak myśli i uczucia wyrastają ze społecznego bytu.

Te właśnie m. in. zanalizowane powyżej, czynniki sprawiają, że literatura epok i klas postępowych ciąży ku realizmowi, zarówno jak cięży ku niemu większość najwspanialszych umysłów twórczych, i dla tych samych czynników literatura realistyczna ma zawsze — przy pozostałych warunkach jednakowych — większe dane być literaturą postępową.

BOLESŁAW DUDZIŃSKI

Nowe „Dzieje chłopów w Polsce”

Jednoczesne niemal wydanie wznowionego I-go tomu „Historii chłopów polskich” — Aleksandra Świętochowskiego oraz nowego opracowania „Dziejów chłopów w Polsce” — Stanisława Śreniowskiego — jest niewątpliwie symptomem wagi i znaczenia kwestii chłopskiej nie tylko w aspekcie minionej historii, lecz i w dzisiejszych, zmienionych warunkach ustrojowych Polski.

Świętochowski pisał swą „historię” (1925—1928) jako publicysta, nie jako historyk. Przejrzał i zbadał wiele materiału źródłowego, nagromadził mnóstwo ciekawych, nieraz sugestywnych i wstrząsających faktów, lecz jasnego i ściślej poglądu na przebieg dziejów chłopskich w Polsce nie dał, syntezę historycznej nie stworzył. Prof. Stanisław Arnold w „słowie wstępnym”, poprzedzającym nowe wydanie pracy Świętochowskiego, stawia temu dziełu następujące, bardzo uzasadnione zarzuty: „Świętochowski był związany ściśle z epoką pozytywizmu i liberalizmu; stąd też w jego ujęciu nie spotkamy momentów, któreby nas dzisiaj interesowały; nie spotkamy przede wszystkim należytego oświetlenia zagadnień gospodarczych w poszczególnych epokach, zmian zachodzących w rozwoju historycznym w stosunkach włościańskich w związku z ogólnymi przemianami gospodarczymi... Stosunek Świętochowskiego do chłopów jest stosunkiem przedstawiciela warstwy szlacheckiej do niższej klasy społecznej, która uległa emancypacji i zajęła nową pozycję w społeczeństwie polskim. Jest to stosunek raczej przedstawiciela liberalizmu, niż przedstawiciela demokracji”.

W inny zupełnie sposób podszedł do kapitalnego tematu prof. Śreniowski. Zdając sobie sprawę, że w historiografii polskiej „brakowało dotychczas ujęcia dziejów chłopskich od strony społecznej, prof. Śreniowski jako historyk ustroju — kwestię chłopską ujął po raz pierwszy od tej właśnie strony, od strony społecznej struktury państwa.

„Dzieje chłopów w Polsce”, potraktowane w ten sposób przez kompetentnego naukowca, nie mają jednak cech uciążliwego pedantyzmu i szkolarstwa. Autor podkreśla w przedmowie, że opracował temat w sposób „podręcznikowy”, popularny, co nawet wymagało pewnych restrykcji i wyrzeczeń autorskich, mianowicie, „rezygnacji z dokładniejszego oznaczenia, co i w jakiej mierze zawdzięcza innym, a co jest rezultatem jego własnych studiów, samodzielnego przepracowania materiału źródłowego i oryginalnego przemyslenia zagadnień”.

W wykładzie prof. Śreniowskiego akcenty położone zostały w równej mierze na odrębności ekonomicznej i prawnej, dzielące chłopów od innych warstw narodu, jak i na różnicę kultury i byt warstwy chłopskiej. Kregosłupem pracy prof. Śreniowskiego jest fundamentalne zagadnienie instytucji „niewoli chłopskiej”, proces historyczny jej rozwoju i upadku na tle dziejów państwa szlacheckiego. „Chłopi — pisze autor — stanowili odrębny stan prawny, a zatem odrębną warstwę społeczną, wyróżniającą się już nie tylko pod względem ekonomicznym i kulturalnym, ale przede wszystkim — prawnym”.

Nie mogę tu — rzecz jasna — streszczać dokładnie wywodów autora omawianej pracy, starczy zaledwie miejsca na przytoczenie pewnych zasadniczych tez autora.

Tak więc, w rozdziale (okresie) pierwszym obszernie omówiona została rola monarchii zachodniej i Kościoła w tworzeniu się zrzębów społeczno-ustrojowych Polski piastowskiej. „Inwazja urzędów Europy Zachodniej do Polski — stwierdza prof. Śreniowski — przedstawiała drogę postępu cywilizacyjnego, który jednakże realizował się w swym przebiegu dziejowym poprzez przeobrażenia socjalne, degradujące ogół społeczeństwa na rzecz nielicznej klasy przywilejowanej”. Ta degradacja przede wszystkim w odniesieniu do chłopów — nabrała rozpędu w okresie następnym, który przyniósł ukształtowanie niewoli chłopskiej w pełnym zakresie. „W Polsce niewola prawna na ogół poprzedziła niewolę gospodarczą. Jeszcze w XIV i XV wieku chłop był zamożny... gospodarstwa chłopskie były częstokroć nie mniejsze od gospodarstw szlacheckich... Ale panowie stali już wyżej socjalnie. Oni mieli w swych rękach ustawodawstwo krajowe, oni mieli nad ludnością swych dóbr prawa sądowe, administracyjne i ekonomiczne. Zaprowadzając niewolę prawną, stwarzali warunki dla postępującej pauperyzacji chłopstwa, a w związku z tym dla dalszej ich degradacji socjalnej i całkowitego już uzależnienia gospodarczego od dworów pańskich”.

Okres XVI — XVIII w. — to pełny „rozkwit” instytucji niewoli chłopskiej. Podstawą egzystencji szlachty staje się niewola i nie-dola chłopów. Szlachta wzmocnia się gospodarczo; zboże polskie wysyłane jest do krajów Europy Zachodniej, ale ten „wysięk produkcyjny polskich dworów — to w każdym stadium rozrost gospodarczej niedoli chłopów”. Były to czasy monopolu prawnego szlachty, czasy prosperacji ustroju, wsparte go na „poddanństwie” chłopów. Majątki pańskie stały się oddzielnymi państewkami.

Przechodząc do okresu rozkładu i upadku instytucji niewoli chłopskiej, autor „Dziejów” wskazuje na rzecz niewątpliwie przykrą, lecz prawdziwą, mianowicie — że w tym procesie rozkładowym „bezinteresowne zrozumienie człowieczeństwa chłopów, uznanie w nim człowieka równego innym nie odgrywało poważniejszej roli”. Oczywiście, racjonalistyczne

egalitarne idee Oświecenia wywierały pewien wpływ na umysłową elitę warstwy szlacheckiej, — właściwe załamanie się systemu chłopskiej niewoli nastąpiło jednak dopiero w czasie rozbiorów, kiedy szlachta straciła możliwość swobodnego eksportu zboża zagranicę i kiedy przestawały działać te czynniki gospodarcze, które przyczyniły się głównie do rozwoju ustroju folwarcznego i supremacji dworów nad życiem kraju.

Co się tyczy odbicia i uprzączenia prądów reformatorskich w aktach ustawodawczych, wypada, niestety, stwierdzić, że — pomimo wielu, jak na owe czasy, postępowych projektów indywidualnych w sprawie reformy ustroju pańszczyźnianego — ich odbicie w prawie obowiązującym było bardzo nikłe i miało cechy raczej deklaracyjne.

Konstytucja 3 Maja nie dała w sprawie chłopskiej prawie nic. „Sama w sobie nie rozdziła na odcinku zagadnienia chłopskiego żadnych skutków prawnych i zbywała tę sprawę frazesem, który uchylał poważniejszą dyskusję w tej najbardziej palącej sprawie. Ale idea opieki prawa nad chłopem, po raz pierwszy w Polsce sformułowana w akcie ustawodawczym, miała się stać na przyszłość zaczynem... Uniwersał Połaniecki świadczy o szczerej chęci Kościuszki poprawienia doli chłopskiej, „ale głównym powodem wydania manifestu była nie sympatia dla chłopów i zamiar uzdrowienia stosunków chłopskich... lecz aktualny interes państwa, interes i losy powstania”. Manifest potępiał wszelkie próby rewolucji społecznej, surowo nakazywał chłopom posłuszeństwo względem zwierzchności. Uniwersał Połaniecki, wywołany obawą przed chłopstwem dał mu jednak zdobycze konkretne: zmniejszenie ilości robocizny chłopskiej o 1 — 2 dni w tygodniu oraz nakaz, aby panowie nie żądali pańszczyzny z tych gospodarstw, z których chłopci zgłosili się do powstania.

Znaczenia realne miały też przeprowadzone poprzednio uchwały z r. 1792 reformy w królestwach: chłopci w tych majątkach uzyskali dziedziczne prawo do gruntu, jakże się tam drogą tradycji wytworzyło, oraz zmniejszenie ilości robocizny. Ta uchwała, powzięta na trzy lata przed ostatnim rozbiorem, mogła jednak obowiązywać w królestwach tylko na obszarze, który stał się następnie przedmiotem zaboru.

Konstytucja Księstwa Warszawskiego, aczkolwiek znosiła niewolę chłopów i gwarantowała im wolność osobistą i niezależność od władzy patrymonialnej, stała jednak na stanowisku pełnej własności gruntowej państwa. Projekty i próby zapoczątkowania reform chłopskich w w. XVIII i w początkach w. XIX nie doprowadziły do istotnej i radykalnej zmiany niewoli chłopów. „Po okresie świadczącym, że szlachta nie zrezygnuje dobrowolnie ze swoich feudalnych praw — pisze autor „Dziejów” — nastąpiła wydatna seria reform przymusowych, antyszlacheckich, uderzających w gmach ustrojowy okupowanej Rzeczypospolitej — seria reform z mocy rządów zaborskich, ale — trzeba to otwarcie przyznać — dobrze służących sprawie chłopskiej. Trzeba z żalem stwierdzić, że to właśnie one, a nie Polska Niepodległa, dokonały podstawowych przeobrażeń położenia chłopów na Ziemiach polskich... Jest to stwierdzenie dla naszej samowiedzy narodowej przykre i pełne gorczy. Historyczna prawda jednak ustala, że istotnym kręsem niewoli chłopskiej było uwłaszczenie chłopów, dokonane w zaborze pruskim w r. 1823, w austriackim — w r. 1848 i rosyjskim — w r. 1864.

Dalsza ewolucja sprawy chłopskiej w Polsce, w latach 1918 — 1945, zajmuje w pracy prof. Śreniowskiego niewiele miejsca i postrakowana jest w sposób ogólnikowy. Autor kierował się tu niewątpliwie przeświadczeniem, że te dzieje najnowsze i powszechnie znane nie wymagają obszerniejszego komentarza historiograficznego.

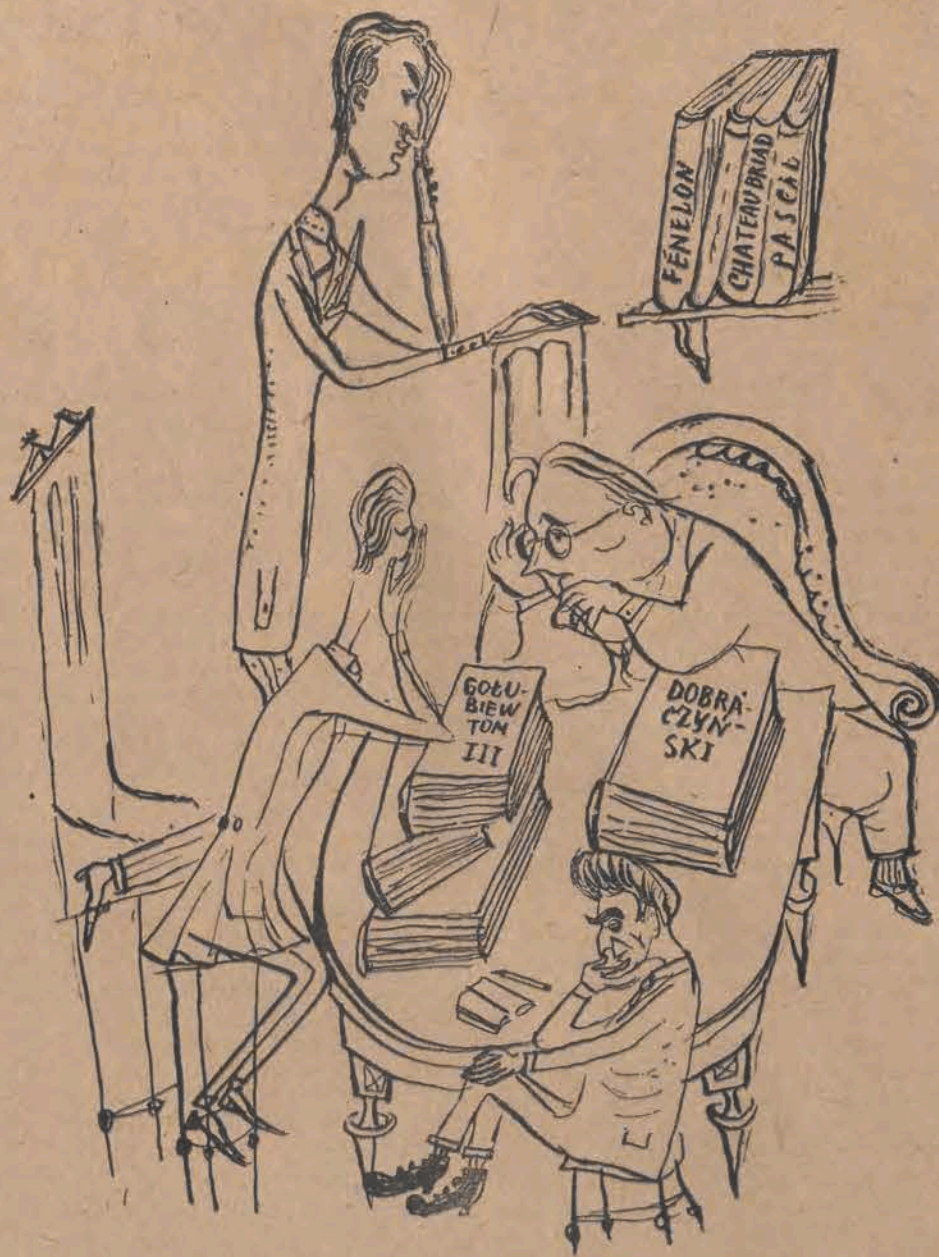
Przypominając w zakończeniu ważkie słowa Bobrzyńskiego: „Jak się postawi włościanin wobec historii, kiedy ze swego punktu widzenia zacznie ją wertować?” — prof. Śreniowski podkreśla, że „stoimy przed wielkim zadaniem napisania historii naprawdę narodowej”.

Prof. Chałasiński, charakteryzując w przedmowie do „Dziejów” wagę i wartość tej pracy, wyraża przypuszczenie, że wywoła ona z pewnością żywą dyskusję — i sam tę dyskusję zagaja. Chodzi mu mianowicie o kwestię „interesów szlacheckich”, który — według tezy autora „Dziejów” jest źródłem i wyjaśnieniem „niewoli chłopskiej”. Chałasiński jest zdania, że pojęcie „interesu szlacheckiego” wymaga „dokładniejszej analizy” i zapytuje: „czy wiele rysów niewoli chłopskiej w Polsce nie tłumaczy się przez to, że pańskie folwarki nie były prowadzone przez ludzi interesu, lecz przez wielkich panów i ich służbę, drobną szlachtę?”.

A w cytowanym już tu słowie wstępnym do książki Świętochowskiego, prof. Arnold kwestionuje słuszność samego terminu „niewola chłopska”, twierdząc, iż „historik zawodowy powie, że tej niewoli nie było, że poddaństwo z punktu widzenia prawnego i społecznego było czymś innym, niż niewola, choć „prawie nie ma różnicy między jednym a drugim pojęciem”. Wątpliwości prof. Arnolda dotyczą pośrednio również terminologii użytej przez Śreniowskiego, a więc — jak widzimy — praca prof. Śreniowskiego ma w sobie wyjątkowe punkty dyskusyjne, zarówno pod względem merytorycznym, jak i pod względem terminologicznym — pojęciowym.

*) Stanisław Śreniowski. Dzieje chłopów w Polsce. Szkice o ustroju społecznym — Warszawa „Czytelnik”, 1947. — Str. 156; 4 ni.

KŁOPOTY, KTÓRE JUŻ MAMY



rys. M. Piotrowski
— Co robić! Mamy 100.000 złotych na nagrodę, ale wszystkich „pisarzy katolickich” już wyróżniono.

PRZYJEMNOŚCI, KTÓRE NAS CZEKAJĄ



rys. M. Piotrowski
— Obywatelu redaktorze, książkę Piwowarczyk przagnął aktym do 1000 numeru „Kuźnicy”.



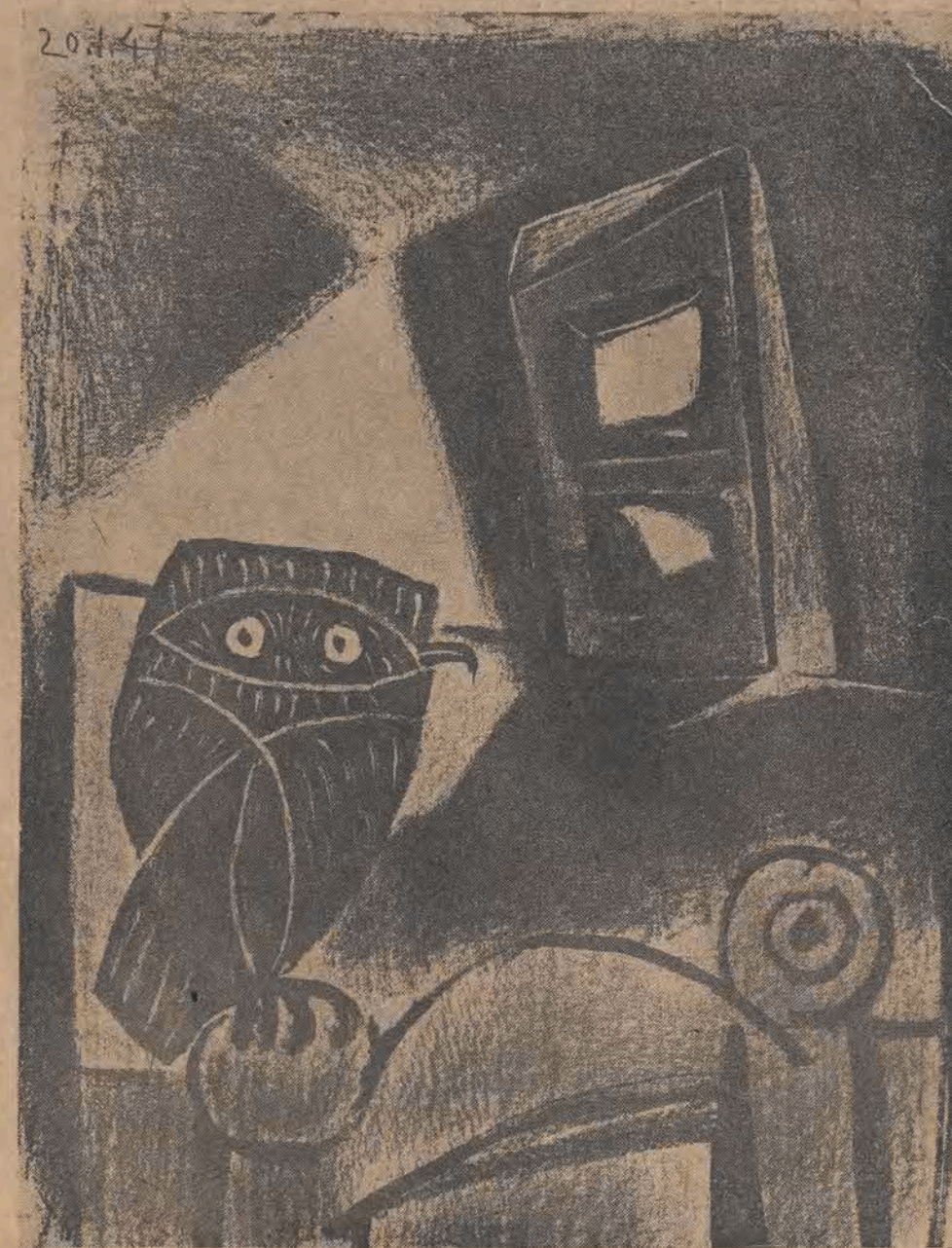
Leger

Pudło do kapeluszy



Picasso

Akt leżący



Picasso

Sowa

HELENA KRAJEWSKA

Wędrowka po wystawach paryskich maj – czerwiec 1947

Wystawy bieżące w prywatnych galeriach sztuki pozwalają najbliższemu zetknąć się z tym, co się obecnie dzieje w plastyce we Francji, a z Paryża jest widok na cały świat, ponieważ wszelkie poszukiwania artystyczne, gdziekolwiek by nie były poczęte, tu konfrontują się nawzajem, tu są dyskutowane, i oceniane. Jasna jest sprawa, że dla do konania obiektywnej oceny tak wielkiej różnorodności pokazów, z którymi się tu stykamy, pokonać musimy bardzo wiele oporów wynikających z wązkiego nurtu naszej tradycji i nikłej dyskusji artystycznej w naszym kraju. Z kolei z perspektywy Paryża jasne stają się niebezpieczeństwa, zagrażające sztuce naszej zarówno od strony fałszywej postawy artystów, jak i od strony odbiorców sztuki.

Czołowa opinia artystyczna Francji z ogromną czujnością i bez uprzedzeń podchwytuje wszelkie realizacje, których autorzy dorzucają najskromniejsza choćby idee do już istniejących wydarzeń. Stosunek taki jest chyba jedyną gwarancją wykrywania się oblicza sztuki współczesnej. Jeśli cały szereg talentów lansowały być może dla mody, dla chwilowej manifestacji, lub czegoś podobnego, wydaje mi się to o wiele mniejszą szkodą i ryzykiem, niż apodyktyczne odsądzenie od obywatelstwa artystycznego całego szeregu wypowiedzi nowych, odsądzenie wychodzące z założeń tradycyjnych, z uświęconych, przyjętych powszechnie cech i właściwości sztuki.

Galerie Drouin jest jedną z tych, które mają ambicję ustawienia się na skrajnym skrzydle w dyskusji plastycznej. W „Galerie Drouin” wystawa Wolsa. Autor szuka nowego świata, poszerzenia świata, objętego działalnością plastyczną, w mikrokosmosie. Pokazuje ukryte dotychczas przed gołym okiem formy nowe: spłot form, najazd plam, linii, kosmatych klebówisk cieniutkich żyłek, pecherzyków, centków, wykrzykników — to są rysunki. Obrazy olejne — przekorne odrzucenie wszelkich prawideł obrazu. Przypadek: zacieki rozrzedzonego koloru, obfitego na płótnie wykorzystane w charakterze konturu, siatek, skosów i t. p. Układ antyorganizacyjny, kończący się na danej płaszczyźnie dlatego, że ma ona określony wymiar, może być nieskończenie większa, lub mniejsza. Żadnego konkretnego komunikatywnego, lub, jeśli kto woli — asocjacja do mełstwa iluzji wzrokowych znanych, a niedopowiedzianych. Postawa artysty całkowicie anarchiczna, nie przyjmująca dyskusji, niczym niewymierzona. Nie pozostawia widza bez podmiotu: świat jest przebogaty, oko plastyka ma do wchłonięcia tyle jeszcze przestrzeni, nieobjętych sztuką! Wszelkie prawa są hamującymi przesadami, ważne jest tylko upodobanie danej, realizującej sztukę jednostki. Czy upodobanie artysty jest społecznie określone, to nie wchodzi w rachubę. Artysta jest membrana nieopanowanej podświadomości, od usprawnienia reakcji artysty jedynie zależy realizacja, zależy odkrycie utajonych przed zwyczajnym śmiertelnikiem możliwości sensacji plastycznych.

W „Galerie Lydia Conti” wystawa Herbin, restor doktryny abstrakcyjnej, patronujący w tej chwili młodemu pokoleniu abstrakcjonistów. Wystawa obejmuje około 30 obrazów: gwasze i akwarele. Mózgowa kombinatoryka wykreślonych kółek, trójkątów, wycinków koła, skosów, poziomów i pionów. Kształty te, wypełnione bezapelacyjnie kolorami, prawdopodobnie na zasadzie fizycznej tezy, podparte są teorią przymusowego oddziaływania pewnych zespołów barwnych ze szczytowym brzmieniem już to czerwieni, już to żółci, czy czerni i białej.

Herbin: postawa eliminująca możliwość nieprzewidywanego postępowania twórczego, Wols postawa anarchiczna, nie przewidująca możliwości przeżycia przez dwie organizacje psychiczne jednakowych wzruszeń, pochodzących z nieskończoności świata.

A przecież biegunowe te postawy mają pewien punkt stykowy i to punkt wyjściowy: całkowite odwrócenie się zarówno w jednym jak i w drugim wypadku od człowieka, od komunikatywności w przeżywaniu świata wzrokowego przez artystę, ulepionego z pokrewnej wzdrowi gliny, a więc obiektywne regowanie całej wieży społecznej, określającej miejsce w społeczeństwie dla jednostki nawet najtrudniejszej do rozszyfrowania. „Non figurative” jest w jednym i w drugim wypadku symptomem niepokojącej ucieczki od życia. Wystawa młodszego pokolenia abstrakcjonistów: Duthoo, Poliakoff, Pouget, Marie Ray-

mond, Reth wyrażnie wymyka się z pod rygorów, którym hołduje Herbin. Duża kapryśność kształtów, jakkolwiek „niefiguratywnych”, mimo to zapożyczonych z form otaczającej artystę natury, z zestawień barwnych, istniejących zespołowo w naturze. Malarstwo Raymonda jest dzięki temu chyba najbogatsze. Duża ekspresja obrazu osiąga Pouget przez intrygujące zestawienia form, opartych na dużych podziałach czerni i białej.

Najpoważniejsza galeria Luis Carre zwinęła przed kilku dniami wystawę Legera i Picassa. Leger to chyba najbardziej konsekwentny w swej postawie plastycznej artysta francuski. Buduje obraz jasno, prosto, z ogromną czujnością dla równowagi form. Obraz oparty jest zasadniczo na białej i czarnej. Burzyczna wypukłość, która osiąga autor przez rozbielenie czerni, kontrastuje z płaską plamą barwną, czerwona, żółta, zielona, niebieska. Obrazy Legera są zamknięte, niezachwiane, doprowadzone do końca bez dowolności dla domysłów, bez koketerii, bez luzów dla zmieniających zazwyczaj idee autora naśladowców.

Pięć płócien Picassa to tony zupełnie światła. Każdy prawie obraz Picassa, to nowy atak na nasze ustabilizowane widzenie rzeczywistości. Każdy przedmiot i kształt w interpretacji Picassa ukazuje nowe, tajone przed nami cechy, otwiera możliwość widzenia wielości form w jednej, dotychczas jednej tej postaci. Niesłychana inwencja artysty, lapidarność i różnorodność użytych środków plastycznych, wreszcie dramatyzm deformacji, dramatyzm tak sugestywnie zwarta z przeżyciami naszych czasów, są zapewne przyczyną olbrzymiego wpływu, jaki wywiera Picasso na współczesną sztukę.

Najbliżej ideologii plastycznej Picassa z pośród francuskich malarzy stoją dziś Daireux (Galerie de France), Pincen Fougereon, Tailleux (Galerie Caputo). Główną na nieco odmienną postawę: w zasadzie zachowuje całkowicie unowne znakowanie form, budujących kompozycję, przerywając całą rozgrywkę na zestawienie plam barwnych, dopełniających się w ten sposób, że transponują na kolor elementy światła i cienia.

Powszechne jest duże zamieszanie materialnej malarskiej w sensie rozmawiania płótna. Czasem odnosi się wrażenie, jakbyby pośpiech koncepcji, zaaranżowania, nie pozwalał na zatrzymanie się dłużej nad obrazem. Możliwe, że przeceniane u nas wykonawstwo przeszkadza mi w wyśrodkowaniu wartości obydwu czynników w obrazie. Tym niemniej trudno opędzić się wrażeniu, że artyści współczesni kończą obrazy właśnie w tym momencie, gdy ujawnili zamieszanie plastyczne, że poprzestają na pośpiesznej manifestacji. Często również u Picassa zamieszanie malarskie stwarza puste miejsca w obrazie.

Braque trzyma się dziś raczej z dala od toczącej się żywo i niespokojnie dyskusji plastycznej. Bogata wystawa tego w Galerie Maeght wprowadza widza w inny świat zainteresowań artysty. Powierzchnia płótna wypracowana jest z wielkim smakiem i pieczołowitością, z wyrafinowanym ustosunkowaniem skupisk barwnych, walorów, form drobnych, strzęplastych do ogólnych, o liniach płynnych itp. Biel jest najczęściej stosowana jako kontur ogromnie ruchliwy, migotliwy, działa, jak odprysk gruntu, wyzwalający każdą traktowaną formę w całym jej bogactwie i różnorodności. Forma Braque'a jest raczej czytelna i to w sensie dużego kontaktu z naturalnym brzmieniem przedmiotu. Dzisiejszy Braque nie jest artystą bojowym, manifestującym, dobijającym się swojego wyrazu dla świata otaczającego. Forma zatracza swoje czyste, jedyne brzmienie, narastają ozdoby zewnętrzne, często nieprzekonywujące przeładowane, umiar zachwiewa się.

Bliską Braque'owi postawę zajmuje Marchand, którego duża wystawa urządziła również Galerie Maeght. Zapożyczenie Marchanda jest bardzo typowe dla wszelkich zapożyczeń: pozwala tym jaśniej określić niedomaganie Braque'a, pewną kompromisowość, elegancję, kokieteryję, w stosunku do widza. Deformacja Marchanda jest już tylko kokieteryja, Marchand komponuje z wielkim smakiem i wirtuozerią, jego kontur jest kunsztowny, plama barwna doprowadzona jest do maksymalnego jarzenia; dzięki mistrzowskiemu stosowaniu podkładów barw dopełniających obraz Marchanda jest dzwieczny, dźwięczny, nudy.

Helena Krajewska

Paryż, w czerwcu 1947

KOZIC w gabinecie Skirlińskiego pojawił się wcześniej. Skirliński z nim to uzgodnił; owszem, przychylił się do opinii Kozica, że na sprawę Dykierta należy spojrzeć pod specjalnym kątem, ale wzamian do magła się, aby oficer zapoznał się z materiałem już dostarczonym przez pierwiastkowe śledztwo. Przede wszystkim z protokołami zeznań, następnie z wynikami rewizji przeprowadzonych równoległe u wszystkich oskarżonych. Kozic się nie łudził: nie mogła to być ani broń, ani żadne paczki z dynamitem lub piroksyliną, czy choćby czerwone sztandary, ale bez wątpienia papery. Papiery wypełnione przez śledztwo, papiery wypełnione przez biegłych, papiery pozapisywane przez oskarżonych. Drużki, referaty, listy. Dreszcz przeszedł mu po skórze; Kozic zjeżył się cały. — Jak dobrze pójdzie, to jednym ciągiem godzinę albo dwie przyjdzie się czytać! — westchnął. Przyjrzał się grubej tece, którą mu zlecił przygotować Skirliński. Pokiwał głową. Ospałym palcem wjechał w byle jakie miejsce między aktami. Podciągnął w górę wierzchnią ich część. Opuścił na papier spojrzenie. Ładna historia: wiersze! To już chyba celem specjalnej ezykany. — „Wiozą trumniska” — popróbowował na chybił trafił czy da radę. Mowy nie ma. Plk aktów, który uniósł, wypuścił z rąk. To nie do wiary! Za skarby świata poezji czytać nie będzie; i do tego latem. Otari! zroszone czoło. W ogóle czuł się dziś nieszczęśliwie. Nie w mundurze, który bardzo pochwałał jako rodzaj odzieży. Tak jak długie buty; to co należało trzymać człowiekowi w kupie. Zupełnie inaczej niż cywilny worek; kto nieprzyzwyczajony cały w nim jeździł, jak jajko w rondelku. Ale teraz z ministerstwa szedł nacisk, żeby z mundurami nie przechowywać. Zagraniczna opinia dobierała się do Polski, że w Polsce rządzą soldateska. Nic podobnego! Wszystko trzymają w garści sami oficerowie. Sami tacy, którzy z armii poprzehodzili na etaty cywilne. Nic z wojskiem współcześnie nie mający do czynienia. Ale gadaj tu z zawsze w stosunku do Polski stronniczą zagranicą! Gadaj wtedy, kiedy rząd nawet godził się na takie ustępstwa, że czynny wojskowy, ile razy go czasowo odkomenderowano do zajęć cywilnych, zdziewał z siebie mundur; a ludziom w rodzaju Kozica, czy jego kolegów, gdy ślano ich z interwencjami do sądów, trybunałów lub też izb kontroli, zalecano kostium cywilny. — Oczywiście, że wszystkie te instancje — powiadał sobie Kozic — powinny sprawiać wrażenie, że są od wojska niezawisłe! — Czym innym jest jednak nadziać się w marynarkę i w pumpy, a czym innym za mundurem sobie nie westchnąć. To nawet człowiekowi rozumiejącemu polityczne subtelności musi być wolno. Kozic skierował rękę w stronę koinierza. — Oj macie! Piersi ja komu daję, czy co — zirytował się. — Rozmawiany człowiek siedzi jak molodyca. No, ale to dla wyższego państwowego celu. I podobnie ta lektura!

Alé zanim wykonał, co postanowił, oszczędził choć trochę oczu. Nabrawszy wiele zdolał w płuć powietrza, wytchnął go z ciężką rezygnacją. Spojrzał z utęsknieniem za szybę; tuż, tuż, po drugiej stronie dwa gołębie wodziły się za dziób; w rogu olbrzymiego podwórza dzieci ciskały na siebie żwirem; za wylotem bramy, podrygując przejeżdżał tramwaj; policjant prowadził aresztanta po przekątnej. Widok tego wszystkiego jeszcze bardziej rozgorczył Kozica. Każdy na kogo okiem rzucił, jego zdaniem, zajmował się czymś rzeczowym; tylko jego jednego obowiązkiem zeraz gotował się zapędzić w zupełne baliwery. Jeszcze z resztką nadziei obrócił wzrok ku więźniowi, który się zbliżał do gmachu sądowego w asyście. Nie: niestety, nie Dykiert. Zresztą na niego to byłoby za wcześnie. Miał być dostawiony dopiero za godzinę. A przed tym jeszcze czekała Kozica konferencja ze Skirlińskim. — Trudno! Trzeba się przygotować, czytamy!

Wdrażał się w to przeciwne jego naturze zajęcie. Nie szło mu, kwasiał się. Nazwiska, nazwiska. Słowa, słowa, słowa. Kozic się niecierpliwił. — Dajże mi już Boże, — stękał, — z tych ciemności wyjść na światło! — Tak nieraz mawiał. Jego współpracownicy wiedzieli, co chce przez te jęki wyrazić. Wśród papierów czuł się jak w

TADEUSZ BREZA *)

NOTES

łochu. Nie rozeznawał się w nich. A okiem tylko rzucił na człowieka, już mnóstwo wiedział. Przyzwyczaił się jednak, choć czuł, że i czas swój i swoją energię trwoni. — Bez marnotrawstwa — pokrzepił się mniej więcej takim rozumowaniem — nie byłoby urzędowania, a bez urzędowania nie byłoby państwa. — Już wy mnie nie żałujcie — sapał, kiedy starano mu się oszczędzić roboty przy papierach, — poradzę sobie! — I teraz przemówił do swego ducha ostro, energicznie dobył wieczne pióro z kieszeni, przygotował czysty arkusz papieru do notatek, bo, — jak z goryczą powiadał — do papieru trzeba przystępować z papierem. Przewrócił kilka kartek, prychnął. Znowu prychnął, znowu przerzucił. To kłaj, to wzruszał ramionami! — Partoly, — sierdził się, — partoly! — Powiadał to naprzemian o przytrzymanych, to na odmianę pod adresem sędziego śledczego czy protokolanta. Miał wciąż wrażenie, że się poniża, po czubek głowy zatapia w bezgranicznym nonsense. Niekładna drogi. I do tego przymuszony, żeby odbywać ją na czworakach. Powoli, powoli, jak za trumną. — „Wiozą trumniska” — przypomniał sobie. I na złość sobie, i ku wstydomi tych wszystkich ślepych konieczności, — zdolnych gładko, jak gdyby nigdy nie dorosłego mezczyzny, a nawet oficera, postawić w sytuacji, żeby musiał czytać poematy, — wytrząsnął z aktów tomik i pochwylił go w ręce. I teraz dopiero ujrzał, że książeczkę obiega banderolka z pieczęcią i odrazu stanęły mu w pamięci przestrogi Skirlińskiego związane z tym zbiorkiem. — Lepiej się stanie, jeżeli pan w ogóle nie będzie do niego zaglądał! — w ten sposób zwrócił się do oficera prokurator. Kozic zaniósł się radoznym śmiechem. Parsknął; — No, proszę się ja go o to nie będę!

Odnalazł w aktach miejsce należne egzemplarzowi. Bezpośrednio za nim rozpoczęły się materiały pobrane przy domowych rewizjach. — Też papier, — nie dał się zwieść pozorom Kozic, — ale przyjemniej miłosierniejszy! — Nie taki monotony jak te dialogi z przesłuchiwań. Och, — ucieszył się, — zawsze raźniej człowiekowi natknąć się na znajomego! Pakiet rękopisów uszczelnionych u młodego matematyka Dykierta przedstawiał się pokaznie. Pomimo to Kozic ryknął wesoło. Dostępu do tajemnic aresztowanego, gotowych go bez nadziei skompromitować, strzegły całe pliki zeszytów zabazgranych matematycznymi wzorami. — A to mi rozkoszna czytanko! — raźniej się zrobiło Kozicowi na jej widok. Przed chwilą otarł się o wiersze. Do irytacji, którą sama ich idea w nim obudziła, przyłączyła się cząsteczka upokorzenia. Często bowiem spotykał — przypomniał sobie z oburzeniem — nawet inteligentnych ludzi, uważających, że człowiek jest głupi, jak nie rozumie wierszy. Przeszła Przypadek całemu temu odczuciu nadał inny obrót. W umyśle Kozica strofy Dederki skojarzył z równaniami Dykierta zamasytym znak łącznika, jednajac oba te mógowe wysoki. — Rozgrzyżaj że je, człowieku! — Kozic podrywał sobie z każdego normalnego, jak on sam, śmiertelnika, na którego raptem z papierów trysną podobne cudactwa. — Tu jakichś zagranicznych specjalistów trzeba! — rozkładał ręce, przyglądając się pracom Dykierta. Cyfra w nich jechała na cyfrze a peganiała trzecią. — A to mi rachmistrzostwo! — ironiczny wyraz dawał swemu podziwowi Kozic. — Jaki to biegły potrafił się w tym zorientować? — zastanawiał się. — Chyba szyfrant sztabowy. No, albo może i profesor. Są tacy! Natomiast co do poezji — rozstrzygał — chyba jaki redaktor! — Stęknął. W każdym razie ciężar ten spadał na innych. — Kondoluję im! Kondoluję!

Atoli kres nadchodził szyderstwom, zeszyty z pracami matematycznymi się kończyły, cyferki przerzedzały, zaczynały na ich miejsce pojawiać się litery. Najpierw boczkami, na marginesach, potem już na całą stronę. Major Kozic począł niektóre z notatek zgłębiać. — Acha — zaklasyfikował rodzaj, na który się natknął — to się nazywają: myśli! — Po kafełkach teraz wyłącznie cyrkulowały aforyzmy, repliki, uctniki, wyciągi z rozmów. — Refleksyjna natura, głęboka! — zapisał te dwa określenia na

przygotowanym kartelusku. Powoli w czytanie się zapuszczał; to i owo wciągał do swojej notatki. Za każdym sformulowanym przez siebie zdaniem czy uwagą, mającą charakteryzować Dykierta, mrużył delikatnie oko, sam z siebie pokpiwał; z tych przygotowań! Ale przeszedł przez szkołę najróżniejszych doświadczeń i z nich zapamiętał, że rygor urzędowych rozmów domaga się, by się w ich trakcie posługiwać frazesem. Więc sobie gromadził baterijkę kwiecistych, zdawkowych wyrażań. Zarazem rzadziej się marszczył. W ogólności lepiej się teraz miewał. Nie tylko dlatego, że dla Dykierta zachował swą początkową słabość, ale głównie, że wchłaniał teksty człowieka, którego ongiś na oczy widział. Papier pozostawał dla niego papierem, to swoją drogą, ale już nie takim beznadziejnie płaskim; na skutek wspomnień, dobrze zachowanych pod czaszką Kozica, nabierał życiowych wymiarów.

„Podkreślić”, „specjalny nacisk położyć”, „zwrócić uwagę”, przeważnie takim trybem rozpoczynały się różne kwestie w notesach Dykierta. Czasami była to w dwu czy trzech pytaniach i odpowiedziach dramatyzowana dłuższa rozmowa. W innych wypadkach wywód toczył się po jednym torze. Zaczepnawszy ślad i zowad po parę zdań Kozic prędko się zorientował, że dla przewodu sądowego wartość rękopi-

sów Dykierta nie jest znaczna. Matematyk, przelewał on na papier myśli i wrażenia wyłącznie dla siebie. Nie mówiąc już o tym, że nigdzie nie próbował podbić ich ceny dla oskarżenia za pomocą uwag ściśle politycznych, czy organizacyjnych informacji. W żadnym wypadku! Ani pary z gęby. Oczywiście, że charakteryzowały one jego osobowość i ustosunkowanie się do świata; tylko że scharakteryzowana ona już dawniej została za pomocą dosadniejszych środków: przez sam fakt poprzedniego aresztowania lub też przez ową aferę z odmówieniem podpisu pod deklarację antysowietyczną w okresie moskiewskich procesów! (Ostatnia zaś wpadka niczego nie wyretuszowała w dotychczasowym portrecie. — Co fakta, to fakta! — westchnął Kozic. Od czegoż są jednak słowa! trzeba się zapuścić w te wypracowania, zdecydował. Z ich pomocą nalapać różnych formulek łagodzących, na wypadek gdyby Skirliński przystąpił do ostrzejszego ataku. Oficer przebrnął przez pierwszy ustęp, uśmiechnął się pobłaźliwie, ale na swoim arkuszu zapisał: — „natura przewrażliwiona”.

— „Litość?” — między innymi na taką uwagę natrafił Kozic. — „Nie, nie odzywa się przede mnie litość! Nie jest mi sympatyczne to pojęcie. Człowiek, który się umieszcza wysoko, wsuwa sobie pod siedzenie materacyk skonstruowany na jej sprę-

ZYGMUNT RADEK

W I E

ODA DO PLAŻY

Plaże! Spokojne morze pod stopy napływa
I wszystkie musujące wody, wina zielone fermenty.
Korab ziemi w południu trwa zakotwiczony.
Wrzawa plaży, kolory kawiarni i wiraje brzegów.
W słońcu zasnęły dojrzale dziewczyny,
Uśmiechy ich szczęśliwe, ramiona ich ozule.
O ogrodach cienistych rozważania snuły
Gdzie siostry z krwi i gliny Hesperidy pilnują owoców.
Kawa palona, o skóro próżniaków!
Młodzi pływacy po morskiej kąpiel
Krzepną w piaskach. W siatkówce drżą niebieskie słońca.
Obserwowałem spokojnie złożone rybaków
Łodzie w mieleznach o żaglu żywym od cynobrow,
Wszystkie cienie z cynobru, spojrzenia ceglane
Ku głębinom cienistym toczonym przez pianę.
I płachty siwych żagli
Nie bardzo wzdęte przez zefir łagodny.
Fragmenty sieci linianych i szkielety ryb
Wyniesione w przypływie,
Jaskrawe parasole, namioty na plaży.
Gwizdano! Pływak młody się odważył
Topieli wyspę szklaną przebyć w pół godziny.
Smutna latarnia morska o oku jak z gazy,
Gdy dzień się już jak misa ku wieczorom chylił,
Blaskiem niecałkiem żółtym wnętrze oświetlała fall.
Chwiały się tam przezrocze meduz krymollny.
Potwory morskie, owe damy miały napewno kłopoty,
Miłość ich była cenna aż na miarę nocy.
Koła sterowe to ich tajemnica.
Póizatopione wraki sterczały przy brzegach.

Lute żary południ ożywia wspomnienie
Zimy surowej i fall muślinu:
Laboratoria zimy, blade gwiazdy i szronu klejnoty.
Płynię wolny lodowiec, kryształ drążony przez słońce,
Mróz wszystkie kwiaty rysuje morza i zwierzęta.

W małym porcie rybackim, w ośelach białych kutrów
Gdzie na masztach schną sieci noc cuchnie saletra,
Marynarze na molo są i zakochani, prócz milionerów cudzoziemskich
[z wędką.]

Straszy fosforyczna poświata
Trupia

12

głowa odarta z mięsa gasi gwiazd zieloną miazgę

Morze ku plaży znosi dziwne swoje wiana.
Niebieskim żyrandolom grozi morska piana.

ARLEKIN. Ów odważny pływak czy marynarz,
Tors heroiczny w hut-ogniskach spalony na cegle,
Złożony owoc morza wielką łapą trzyma:
Fragment puszki sardynek — ster w którego szczątkach
Obsiadły kolorowe żyjątko i kraby.

*) Fragment z powieści pt. „Niebo i ziemia”, której akcja toczy się w latach 1937—39; powieść ta stanowiąca dalszy ciąg „Murów Jerycha” ukaże się nakładem Spółdzielni „Czytelnik”.

D Y K I E R T A

zynkach. To wygodniej. Dlatego nią gardzę. Bo jest przekupnym, płaskim uczuciem, które się całe trzęsie ze strachu, by strumień psychiczny, jaki w człowieku porusza, nie porwał z jego dna choćby ziarnka oburzenia. Krzywdzić i litować się, grzeszyć i spowiadać to kapitalna instalacja. We wszystkich podobnych inżynierach przyznać trzeba, że świat wyzysku zdobył się na absolutne mistrzostwo. Religia? Nie! To w pierwszym rzędzie miłość bliźniego uznać trzeba za opium dla ludu. To ona o dwa tysiące lat sprolongowała panowanie wybranych. Przekształciła się bowiem w chwyt obezwładniający biedaka nauka, że można się jego niedolą nakoniec wzruszyć. Wspaniale! I pomyśleć, że przez taki balans sprawa dołów opóźniła się o całe wieki! Od Annasza do Kalfasza? To nie Jezus, to nędzarz. Podobnie koluje od boskiej sprawiedliwości do ludzkiego miłosierdzia.

Na marginesie stroniczki zawierającej powyższe treści znajdowała się jeszcze pewna uwaga. Kozic przekreślił kajet. Odcyfrował: „Komunizm w stosunku do miłosierdzia to hurtownik”. — Skrzywił się, ale już konsekwentnie zapisał: — „idealista”.

I tak od czasu do czasu muskał piórem swój arkusik, ale coraz rzadziej i rzadziej. Rozpedził się, kartkował z zainteresowaniem, to się frytował, to wzruszał, przypo-

miął sobie, że jak był młody też tak nie raz sądził. Od tego czasu całkowicie się zmienił. Nabrał przekonania, że w rzeczywistości nie idee rządzą światem, ale ludzie. Więc dlatego uważał, że Dykiert w swoich kajetach umieszczał przeważnie fałszywe rzeczy. — Szkoda człowieka!

Czytał: — „W nadchodzącym ustroju nie będzie miejsca na klasy, które rządzą, na narody ponad innymi i na idee, które wszystko próbują pod siebie zagarnąć. Taką ideą jest Bóg! W przyszłości nie będzie miejsca na dwie wszechmoce naraz. A tylko na jedną: wszechmoc zbiorowości”.

Zajrzał do następnego zeszytu. Zawierał wspomnienia z pierwszych lat dzieciństwa. Krótkie incydenty albo dłuższe historie. Niektóre z nich Kozic przerzucał, inne czytywał starannie. Jak popadło. Nad ostatnią, bardzo rozciąglą, westchnął parę razy. Brzmiała ona tak:

— „Czasami ktoś z bliskich, rozmawiając ze mną, dziwił się, ręce załamując, ludzkom spod ciemnej gwiazdy przypływając zmiany, które we mnie zaszły. Zmiany! Jakie? Od kiedy? A czyż ja przed tym byłem inny. Skądże. Takim jakim jestem stałem się nie przez kolegów na uniwersytecie, nie przez książki; pod ich wpływem po prostu się rozwinąłem, ale zacząłem być sobą niesłuchanie dawno. Już jako dziecko! A więc na przykład potroszę wte-

dy, kiedy jako chłopiec sześciolatek spędziłem zimę na wsi w okolicach Nowego Targu. — „Poczekaj jeszcze chwilę — wstrzymywała mnie nauczycielka, z którą jechałem, — a zaraz już się zaczyna dobre powietrze”. — Lekarz mi je przepisał ze względu na dokuczliwą anemię. Dwór, do któregośmy przybył, zalegał dosyć dużą przestrzeń. Ludny był, ale tylko w pewnym sensie, bo samymi starymi ludźmi. W każdym pokoju można się było na kogoś natknąć; ten migał drutami, tamten odprawił koronki, inny kładł pasjansa. Co wieczór udawałem się do ciotki w ł a s c i w e j — tak nazywałem w myśli właścicielkę — na dobranoc. Na stolczku przy łóżku znajdowałem zawsze różaniec oraz pudełeczko z pigułkami na żołądek. Ciotka odliczała sobie na blaciku, ile pigułek ma zażyć przed samym snem; dwie, czasem trzy, a raz nawet pięć. Z początku myślałem, że w ten sposób oznacza na dany dzień dodatkowe modlitwy. W jej pokoju na bluzeczku rozmieszczone były fotografie; występowały wszędzie, niekiedy po kilkanaście naraz, objęte jedną wspólną ramką. Zwłaszcza osoby w balowych sukniach mieszały mi się z postaciami, świętych. — „Ten pan mieszka niedaleko od nas — wyjaśniał mi ktoś ze starszych, — prawdopodobnie w przyszłym tygodniu przyjedzie”. — „A tamten” — indagowa-

łem, wskazując palcem na bardzo ładną osobę, również w ramce, z długimi włosami, z złotym nad nimi rondkiem. — „Który?” — „Ten, gdzie on mieszka?” — Dowiadywałem się wtedy, że to był pewien święty i patron, przebywał bezpośrednio nade mną, znacznie powyżej dachu, na głowie nosił aureolę. — „A kiedy do nas przyjedzie?” — Zdaniem jednych, gdy będę grzeszny, zdaniem innych — nigdy. Ani to było zachęcające ani pedagogiczne. Nigdy? Nigdy! Ciekawe na jakie on może natrafiać trudności? — „Ej, niejasna historia, — dochodziłem do tego przekonania”. — „Módl się gorąco, to kiedyś może ci się jedna z tych osób pokaże” — tak mi doradzała ciotka, która dzień w dzień sobie odczytywała jakąś stroniczkę z żywotów świętych. Chodziłem z nią po pokojach, a ona mi opowiadała ich historie. — „Święta Katarzyna — mówiła, — ale to patronka babusi; poczekaj, zaraz, gdzie ona tu jest?” — Ale zawsze się okazywało, że powiada w ten sposób o obrazku, najczęściej na ścianie, a czasem w książce. — „Zna ją ciocia?” — „Nie, bo ona bardzo dawno temu umarła”. — A przecież można było umrzeć, a przed tym być znanym. W tym się już orientowałem. Tak na przykład było z moją prababką. Mówiło się o niej, każdy w tym domu ją pamiętał, umiałem wskazać, gdzie miała pokój. W szafie nawet wisiały po niej dwie suknie. Nie obznajmiony byłem z tym, że to aksamit, a już znałem myszy, raz nawet mogłem pogłaskać jedną, złapaną, i myślałem, że to z nich. — „A którego ciocia widziała?” — pytałem, kiedyśmy siedzieli nad ogromnym ilustrowanym tomem z żywotami Świętych Pańskich. Wszyscy mieli twarze zwrócone ku górze, wygodniałe i spłoszone. — „Możesz ich wzywać ku swojej pomocy!” — upewniała mnie, gdy ja się właśnie zastanawiałem, czyby się nie dało, żeby coś dla nich zrobić; napewno wyglądałi na bardziej potrzebujących niż ja. Przechadzałem się z twarzą wzniesioną. — „Co oni takiego widzą w niebie?” — zastanawiałem się. Zaobserwowałem, że ile razy przy stole spytam o coś konkretnego, nikomu się nie chce odpowiedzieć. — „Czy w lesie nad jeziorem są grzyby?” — „Jedz, zawsze jesteś ostatni!” — Ale, na przykład, kiedy ich zagadnąłem o niebo, ożywił się wszyscy. — „Jakto co widzą?” — powtarzali moje pytanie retorycznie, bardziej nim zgorączkowanymi niż na skutek przybycia poczty czy na skutek turkotu za oknami, co najczęściej oznaczało, że już — już a ktoś przed dwór zajędzie. — „Wieczną szczęśliwość oglądaj!”, „Raj”, „Boga!”. — Wszyscy państwo mówili jedni przez drugich, zwłaszcza panie. — „A ja się przyglądam, przyglądam i nic nie mogę zobaczyć!” — Z tym samym zgorączkowaniem sypały się odpowiedzi. — „A bo nie jesteś święty!” — „A bo jeszcze jesteś malutki”. — Na spacerze zadawałem podstępne pytanie ciotce, która raz po raz spoglądała z niepokojem na chmury. — „Co ciotka tam widzi?” — „Że zaraz na nas lunie! Chodź, wyciągaj nożki. Zdaje się, że się teraz na dobre rozpada”. — „Czy zatem istnieją dwa nieba, czy co?” — głowiłem się. — Taka masa świętych i prababcia i różne inne osoby również p o u m i e r a n e, jak wówczas mówiłem, i poza tym i chmury i deszcze i gwiazdy i ptaki. Dzwone towarzystwo! Pierwszej grupy nigdy się nie ogląda, a drugą stale. Czemu? — „Jak to dwa? Ależ skądże!” — oburzał się wuj — „Niebo jest jedno!” — Jak to wszystko razem pogodzić? — gryzłem się. Wiem! Wiem! Zapamiętałem sobie dobrze, że większość osób z świętych obrazków opiera nogi na chmurach, to też kiedy u jednej z ciotek natknąłem się na pudełko przeznaczone na kapelusze, oślniło mnie ono i zaraz sobie pomyślałem, że podobne urządzenie całą rzecz wyjaśnia. „Niebo ma podwójne dno!” — ogłosiłem podczas obiadu. — „Ależ co ty za głupstwa wygadujesz. Bój się Boga!” — z miejsca obudziłem zwykły rozgwar, ja, który przed chwilą napróżno cały stół molestowałem, by się dowiedzieć, czy to prawda, że czasami kocica może wykarmić szczenięcia. — „A czy Świętych jest dużo?” — gotowość aby mnie objaśnić jeszcze się wzmogła. — „Ty-le co ludzi w kościele na sumie”. Ale tę informację natychmiast przeliczywał wuj

R S Z E

PORTRET SPAWACZA

Jestem spawaczem. Mam zawód.
Naprawiam mosty i szyny.
Krocze w snopach białych iskier
I w spodniach z akwamaryny.

Palniku! Twój język gryfa
Spokojnym lazurem stal tnie.
Zamysłony cień jak skrzydła
Serafinom lotki kradnie.

Świtania kruche. Zapłoną
Wnet żarówką na przedmieściu.
Człowiek - mucha ma kapelusze
Niemozny. Chudnie pod murem.

Oto dmucham w długą rurę
Gazem z cylindra dobytym
Strojny jak czarodziej, przytym
Acetylen jest lazurem.

Naokoło ścian fragmenty:
Murarz trzyma pion i kielnię.
Widząc iskier mych diamenty
Krzyczy: „Ten się spisał dzielnie.”

Olbrym szyny łamie prosto
Jak z arabskiej bajki murzyn.
A jego szafiry o sto
Lat innym nogi przedłużają.

Niech ochronne okulary
Przed blaskiem chronią nadmiernym.
Słońce kropkami owoców
Dojrzejwa, przesłania hermy.

Kadłub przystojnej kobiecy
Odnaleziono w kawiarni.
Łało. Płynię biały statek
Marynarze kładą farby.

Przystaje gap ognia lasy,
Wdowiec w modrej kamizelce
W kwiaty. Zamarzło mu serce.
Palnik pruje jego kasy.

Brzask płacze łzami soferów
Ponad budką gazeciarza
I liście świecą niebieskie
Dzięki kurierów tytułom.

Widmo z muru się wynurza
Blado błękitne jak morze.
Dźwiga w sieci młody bożek
Połowy śrub i zawory.

Zapach soli, tytoniu, piotunu i drzewa
Róży, prochu, lontu, piwnicy, kajuty
Wola inne przypływy i fale olbrzymie
Już inna niepodobna ośmiu siostrzym płynię
Najedzona trupami, zła syrena wzywa
Piekło ponad akwariem zamarłego portu.

Atak z powietrza huczał rojem propelerów
I stalowa BATERIA gorzała jak jądro
Gorącej gwiazdy. Żołnierze ranni i cywile
Pociskami karmili metalowe paszcze
Armat. Dziewiąta fala unosi rozbitków.
Załogi kanonierek żegnajcie na zawsze.

RÓŻA WIATRÓW obraca igłę magnetyczną
Ku zwrotnikowi Raka nad liter ruletka.

Śmiały pływak był potem w Chinach i na Jawie,
Z portową prostytutką łańczył na Sumatrze
I na łodziach podwodnych służył ów ogniomistrz.
Oddawna w cyrkach polykał płomienie.
Zwiedził tematy filmów i powieści.
Atoże koralowe, móżrce cenne pierścienie,
Diademy, geografii, rozgwiazdy cynfolii.

Koło Malmo KAMIENNA GŁOWA tłucze się o fale.
Ryczy membrana kiedy zanurza się boja.
Zauważyć też można biały kształt podwodny
Człowieka, plany zielone czyste głosy stroja.
Nuty wspinają się na pięcioliniu.

Oto inna żegluga gdy lampa się chwije,
listy piszą marynarze.

Twarz kobiecy przyłaskiem jest dobrej nadziei,
tęsknić każe.

Zielona gorycz morza kapie jak atrament
na karty listu.

Na ścianie odbłask fal, wód przejrzystych lament
zapomina wszystko.

O falo, liściu wina nie wódz mnie już więcej
Na pokuszenie, wracająca falo.
Tęsknię niby meteor za bliską planetą.
Sznury masztów zamieńcie w żagiel moje serce.
Wszystkie arterie gardła rosną w takelunek.
Niechaj usłyszę znowu dwubarwną pieśń plaży
Białozielonej i rudej w dwóch światłach
I w dwóch harmoniach monotony skrzypleń
I w poruszeniach gwiazd miliardów jądra odwiecznego.

JULIUSZ ŻULAWSKI

Lipiec 1944 w najcichszym zakątku świata

ZE WSPOMNIENIAMI należy postępować ostrożniej, niż z jakimkolwiek innym materiałem pisarskim. Pisząc wspomnienia, zwykle znamy już rezultaty wydarzeń, które zamierzamy opisać w ich aktualnej postaci — i wskutek tej naszej rozszerzonej wiedzy bywamy bliżej niebezpieczeństwu nadmiernego „wzbogacenia” faktów w ich późniejsze znaczenie z uszczerbkiem dla ścisłości opisu.

Gdy sobie jednak uświadomiamy to niebezpieczeństwo — rosną szanse opisu sytuacji minionych w sposób na tyle ścisły, na ile tylko pozwala nieunikniona jednostronność naszej pamięci.

Sięgam tą pamięcią niby niedaleko, bo tylko trzy lata wstecz, a jednak odczuwam to, jako wielką wyprawę w przeszłość — tak bardzo zmieniły się w międzyczasie warunki mojego życia. Trzy lata temu bowiem — w lipcu 1944 roku — siedziałem jeszcze za podwójnym murem drutów kolczastych i karabinów maszynowych w obozie jeńców wojennych, w gęstym tłumie pięciu tysięcy oficerów polskich — i był to już piąty rok życia w tej opacznej sytuacji.

Jeżeli nazwałem ten obóz wśród pustkowi „najcichszym zakątkiem świata” — to nie miałem na myśli takiej ciszy, która jest odпочynkiem, ale taką która przeraża. Wewnątrz zamkniętego terenu kłębił się przecież gwar nieustanny, a pas martwoty i głuszy oddzielał nas od wszystkich wydarzeń, które niosła na świecie wojna, a które wyrastały i toczyły się bez nas, bez tych setek tysięcy ludzi w wieku najspobniejszym do najintensywniejszej właśnie działalności.

Ale sama dynamika istniała — i tworzyliśmy sobą jakieś zamknięte, ulamkowane lecz ruchliwe społeczeństwo, w którym — niby w arce Noego — żyły egzemplarze wszystkich zawodów i warstw inteligencji naszej, od nauczycieli ludowych do profesorów uniwersytetu, od ziemianinów „dziedziców” do inżynierów, adwokatów „ekonomistów”, polityków, pisarzy.

Wiadomości ze świata ograniczały się prawie wyłącznie do informacji o działaniach wojennych w prasie i radia niemieckiego, z pokrywami i fragmentarycznie chwytanych komunikatów angielskich, z

docierających czasem gazetek A. K. Poza tym znikąd. Podkreślam ten fakt. Bo jak z podania wymienionych źródeł wynika — można było sobie odtworzyć wprawdzie jako tako sytuację na frontach, ale o sytuacji politycznej — szczególnie w kraju — wiedziało się w sposób bardzo jednostronny, istniała luka, którą niektórzy z nas wyczuwali, ale w której — niby w ciemnym tunelu — nie ukazywał się żaden sygnał.

W tych warunkach braku jakichkolwiek realnych kontaktów zewnętrznych odbywała się poprzez lata wojny ewolucja poglądów — tak! rewolucja nawet! w zamkniętej, odciętej od terenu i jego wpływów, w zmieszanej i niejednolitej grupie inteligencji.

Ewolucja ta rozpoczęła się już w pierwszym roku wojny i zamknięcia nas po klęsce wrześniowej, rozpoczęła się pod wpływem normalnych starć pomiędzy wyrobionymi politycznie ludźmi z lewicy i prawicy, starć, które stały się widoczne dla ogółu poprzez zakonspirowane odczyty polityczne i ekonomiczne, poprzez walkę o programy kursów zawodowo dokształcających, poprzez walkę o najrozmaitsze formy wewnętrzno-obozowego życia. Przytem sytuacja lewicy była zrazu nad wyraz trudna. Ostateczne rozczarowanie do sanacji po przegranej wojnie i psychoza religijna pierwszego okresu kierowały ogół w pierwszym odruchu raczej ku działaczom endekim, którzy ze swej strony w zwalczaniu ludzi lewicy nie przebierali w środkach posuwając się do aktów denuncjacji. (Takiej niewątpliwie denuncjacji zawdzięcza na przykład przeniesienie z naszego obozu jeńców do obozu koncentracyjnego Kazimierz Rusinek, znany działacz Polskiej Partii Socjalistycznej, obecny minister Pracy i Opieki Społecznej). Te i tym podobne sposoby walki, przez nabożnych członków Sodalitacji Marińskiej, uprawiane w obozie otoczonym przez żołnierzy i agentów niemieckich, zaczęły oburzać wszystkich ludzi uczciwych.

Jednocześnie ruch lewicowy tworzył coraz mocniejsze formy organizacyjne. Trzoniem stała się nasza grupa pępeesowców i duża grupa członków Związku Nauczycielstwa Polskiego, z których większość uważała się za ludowców, przyczem o radykalnym ich nastawieniu może między innymi świadczyć fakt, że wszyscy główni przywódcy tych ludowców znaleźli się dzisiaj w S. L. u.

Komuniści — niewątpliwie najbardziej z nas wszystkich na niemieckiej ziemi narażeni, a przytym nie zawsze aprobując szeregi z konieczności wachlarz polityczny organizacji — albo trzymali się na uboczu, albo należeli do organizacji nie deklarującej się jako grupa.

W miarę oddziaływania tej tak zorganizowanej lewicy i w miarę samorzutnych zmian poglądów pod wpływem przemysłów — ogólna atmosfera w obozie stawała się coraz bardziej postępową, chociaż, oczywiście reakcyjny odłam tej masy inteligencji — choć malał — pozostał aktywny aż do końca.

Zresztą z biegiem lat zanosić się zaczęło na trochę inny podział. W obszernej grupie, którą z pewnym uproszczeniem nazywam „lewicą”, już w 43. im roku zarysowała się zrazu niewidoczna szrama.

Niepokój niektórych z nas z powodu fragmentarycznych ale tym niemniej zastraszających wiadomości o posunięciach politycznych i o składzie personalnym rządu „londyńskiego” pogłębiał się coraz bardziej. Nie mniejszym niepokojem napelniał nas ton coraz częściej docierającej gazetki i „Biuletynu Informacyjnego” A. K. Wśród nas — socjalistów — i wśród ludowców, w ramach wspólnej organizacji a jeszcze bardziej w rozmowach prywatnych, zaczęło dochodzić do coraz gwałtowniejszych sporów. I znów byliśmy w sytuacji trudniejszej: nasi „legaliści” mieli za sobą oficjalny rząd w Londynie i jego delegaturę w kraju, oraz przysługaną nam deklarację „Komisji Porozumiewawczej Czterech Stronnictw” — my zaś mieliśmy za sobą tylko coraz większą nieufność do tych rzeczy i tylko własne przekonanie o politycznej racji, a pozatym wielką niewiadomą, zupełną niewiedzę o tym, co się dzieje w kraju po linii naszych przekonań, mrok, z którego jak już powiedziałem nie wylaniał się nam żaden sygnał.

Ten sygnał — któregośmy jedynie w logicznym rozumowaniu oczekiwali — do-

statecznie wyraźnie doszedł do nas pod koniec lipca 1944 roku. Było to dalekie echo manifestu P. K. W. N. u.

Nie prędko jeszcze mogliśmy się zapoznać z pełnym jego tekstem. Ale od kiedy dowiedzieliśmy się, że istnieje nowy rząd na wschodzie, rząd koalicyjny, w którym obok komunistów są i socjaliści i ludowcy — nasza pozycja wzmocniła się od razu.

Nasz front — front tych socjalistów, tych ludowców i tych wszystkich ludzi z naszego kręgu, którzy w powstaniu nowego, prawdziwie ludowego, prawdziwie lewicowego rządu na wyzwolonych już wschodnich terenach kraju widzieli polską polityczną rację stanu i polską przyszłość społeczną i gospodarczą — ten front zaczął od tej chwili stawać się powoli siłą coraz realniejszą w naszej obozowej społeczności, chociaż nie wiedzieliśmy oczywiście w dalszym ciągu, jak potoczą się wydarzenia w świecie i jakie praktyczne szanse ma na przyszłość ten nowy rząd ze swymi postulatami.

Zażądaliśmy od naszych inaczej myślących towarzyszy przedyskutowania i zrewidowania sprawy lojalności politycznej i lojalności wojskowej, biorąc pod uwagę istnienie dwóch rządów i sytuacji rewolucyjnej oraz żądaliśmy ściślejszej współpracy z komunistami na terenie obozu doszliśmy do jaknajlepszego porozumienia, tworząc w parę miesięcy potem wspólny Komitet Antyfaszystowski. Z towarzysza mi jednak, dla których pozostała miarodajną obecność Kwapińskiego i Arciszewskiego w rządzie „londyńskim” — porozumienie okazało się znacznie trudniejsze.

W lipcu 1944 — w momencie ogłoszenia manifestu P. K. W. N. u — bardzo mało wiedzieliśmy o sytuacji politycznej w kraju i o kierunkach rozwijania się życia politycznego przez te pięć lat niemieckiej okupacji. Musieliśmy czekać napływu do naszego obozu oficerów A. K. z powstania

warszawskiego, a więc do listopada, a dopiero wtedy spotkaliśmy się niejednokrotnie z relacjami zbyt jednostronnymi i tendencyjnymi. Dopiero nieliczni P. A. L. owcy wyposażyli nas w informacje obszerne, rzetelne i — jak się potem okazało — najściślejsze.

Podkreślam ten fakt rozmyślnie. Do lipca 1944 nie wiedzieliśmy właściwie nic z rozwoju myśli politycznej kraju, a do listopada tegoż roku nie znaleźliśmy żadnych szczególnych. A jednak w tej zamkniętej i odciętej grupie ludzkiej, w tym przypadkowym ulamku społeczeństwa polskiego, odbyła się w tym samym czasie ewolucja myśli politycznej w sposób zadziwiająco równoległy do przemian i osiągnięć postępowego odłamu całego społeczeństwa.

Fakt ten przychodzi mi zawsze na myśl, gdy ktoś mówi w Polsce o „dyktaturze”, o tym, że w Polsce nie odbyła się rewolucja lecz odgórny „zamach stanu”. Owe setki ludzi w obozie jeńców wojennych nie były pod żadną „dyktaturą”, a jeżeli były takie próby to płynęły z wręcz przeciwnego kierunku. Setki ludzi przeszły tam samodzielnie rewolucję poglądów — jeszcze przed powrotem do kraju — i nie dotarli do nich niczyj „rozkaz” w tej sprawie.

Rozwiązanie tej „zagałki” — nie jest wcale trudne. Istnieje logiczna prawidłowość w układaniu się dróg postępu ludzkiego, ładu do wykrycia dla tych wszystkich, którzy w myśleniu kierują się tą logiką, a nie czym innym. A takich ludzi znalazło się wszędzie bardzo wielu w rozmaitych jednoznacznie ugrupowaniach społecznych i sytuacjach.

Rewolucję polską dokonały i korygując ją ciągle siły społeczne, siły społeczeństwa polskiego. Chyba, że ktoś za całe społeczeństwo uważa tylko kilka zgorzkniałych starszych pań, młodego kołtuna, któremu odebrano łaskę, i znajomego sklepikarza z przeciwną.

Juliusz Żulawski

NOWY NUMER „PRZEGLĄDU SOCJALISTYCZNEGO”

Ukazał się numer 7-8 (lipiec-sierpień) „Przeglądu Socjalistycznego” o następującej treści:

Uchwała Rady Naczelnej PPS z 30.6.1944 r. A. Krygier: PPS wobec rządowego projektu budżetu.

St. Leszczycki: Zagadnienie wyższego szkolnictwa i nauki.

St. Gross: O rewolucyjną praworządność.

J. Stańczyk: Walka o pokój i poprawę bytu.

T. Głowacki: Kazimierz Kelles-Krauz, Czworowiek i dzieło.

K. Grzybowski: Socjalizm a „rządy dyrektorów”.

J. Topiński: Dlaczego spółdzielczość?

G. Timofiejew: Niesplacony dług doktora Piotra.

Kartki z historii socjalizmu.

M. Zawadzka: Stefan Okrzeja.

J. Gorzycka: Wspomnienie o Adamie Próchniku.

St. Woszczyńska: Kobiety w polskim ruchu socjalistycznym.

Na horyzoncie: W Polsce — W ZSRR — W Europie — Za morzami.

Idee — Myśli — Zagadnienia:

P. L. Marek: Jeszcze w sprawie ruchu zawodowego.

S. Filipkowski: Humanizm a organizacja pracy.

M. Podkowiński: Rozczarowania i metamorfozy.

R. Wojna: Polityka dolarowa.

A. Fidler: Konferencja w Margata.

M. Turski: Zdrowie w Polsce.

A. L.: O odpowiedzialności karnel faszystowskich zbrodniarzy.

Z życia partii.
Notatnik referenta.

MARIA DŁUSKA

Dokoła podstaw wersyfikacji

WÓYCICKI, Łoś, Zawodziński, Siedlecki, Furmanik... Niewątpliwie to ostatnie nazwisko, nieznane dotychczas, dzięki „Podstawom wersyfikacji polskiej^{*)}” będzie odąd wymieniane z tamtymi. Inna sprawa jakże wśród nich zajmie miejsce, bo chociaż ilość dzieł o wierszu polskim jest niewielka, ale każde z nich jest w swoim rodzaju fundamentalne. Wóycicki stanął na gruncie rytmiki i przodził i chociaż nie mógł tej ostatniej zbadać dostatecznie, ale dał rzecz rzetelnie przemyślaną, ujętą konsekwentnie, dziś jeszcze na wielu punktach nie przestarzała; Łoś nie był mocny w teorii wersyfikacji, ale obdarzył nas obszernym katalogiem form wierszowych, ułożonym chronologicznie, w niektórych partiach znakomitym; Zawodziński pokusił się o podmalowanie dla wiersza polskiego tła wersyfikacji europejskiej; Siedlecki porwał się na nietykane przed nim problemy strukturalne i funkcjonalne. Żaden z tych autorów nie zdołał dać pełnego, wyczerpującego obrazu, ale nasświetlił wersyfikację polską z różnych stron i postawił szereg problemów. Ktokolwiek pisze po nich, winien rozstrzygnąć te problemy i pogłębić lub prześcignąć myśl poprzedników. Względnie postawić całą sprawę badania wiersza polskiego na innej jakiejś, nowej płaszczyźnie.

Furmanik za punkt wyjścia dla swojej pracy bierze pytanie: „Na czym polega różnica między wierszem a prozą?” — Pytanie to istotnie sięga podstaw wersyfikacji, aby na nie odpowiedzieć w pełni, trzeba rozszepać badanie na szereg zagadnień. Przede wszystkim wystąpią tu kwestie, związane z rytmiką prozy i wiersza, z użycowaniem w jednym i w drugim wypadku czynników fizjologicznych mowy (Mleczko, Serce a Heksamet) i przodujących czynników języka. To by była jedna seria pytań. Druga, pokrewna, dotyczyłaby już nie rytmiki, ale melodiki prozy i wiersza. Trzecia seria zagadnień, to słownictwo, dobór form składniowych i fleksyjnych i wszelkich poza przodzią leżących środków sugestii językowej.

Z tych trzech seri zagadnień Furmanik zatrzymał się na pierwszej. Od trzeciej parokrotnie się odżegnywa, jako od spraw, nale-

żących do stylistyki sensu stricto (zahaczając cnie co prawda nieraz i o dziedziczne rytmyki), drugą poprostu pomija, całą swoją uwagę koncentrując na sprawach przodzi i rytmiki. — Jednakże w tym punkcie najistotniejszym czytelnik dozna rozczarowania. Autor nie zna należycie ani teorii rytmu ani przodzi języka. W jednej i drugiej dziedzinie popełnia błędy. Tak np. przeciwstawia sobie rytm i metr jako zjawiska różnego rzędu, a przecież tak zwany metr jest tylko jednym z wypadków rytmu, jest rytmem par excellence. W rozważaniach nad wersyfikacją mowa się o byciu bez tego terminu, zastępując go odpowiednio omówionym terminem, rytmem i rzecz nic na tym nie traci. Ani Zawodziński, ani Siedlecki, którzy pierwsi u nas postępowali się nazwą metr w znaczeniu zasadniczego schematu rytmicznego wiersza, nie popełnili tej pomyłki. Jakiego pojęcia o rytmie i metrze i o różnicy między wierszem a prozą nabierze nieprzygotowany czytelnik, jeżeli sięgnie do „Podstaw” dowie się na wstępie, że „nie tylko i proza ma swój rytm”, ale nawet w zasadzie taki sam rytm (sic!) jak wiersz”, a „różnica między wierszem a prozą musi polegać na jakimś odmiennym i swoistym strukturalnym czynniku języka”, które to strukturalne jest właśnie metrem. Ostatecznie kiedyś wychodził sztydo z worka i na jakimś innym miejscu dowiaduje, jemy się jakby mimochodem, że „istota wiersza jest natury fonocentrycznej”, ale ileż na tych kilkudziesięciu stronach wstępnych rozważań teoretycznych zawilego kołowania po lesie językoznawstwa i rytmiki ze stałym niedociąganiem do współczesnego poziomu wiedzy w jednej i w drugiej dziedzinie. To niedociąganie teoretyczne odbija się i nadal w różnych miejscach książki w sposób przykry. Zdumienie ogarnia, gdy po przedstawieniu czytelnikowi trzech współczesnych nasyższych systemów wierszowania autor klasyfikuje wszystkie nasze wiersze regularne, nie wyłączając tonicznych, na zasadzie ilości sylab. W wypadku wiersza tonicznego równa się to określanie stylu rzeźby na podstawie ilości zużytej gliny i budzi podejrzenie, że autor nie zdaje sobie jasno sprawy z istoty systemu tonicznego, zwłaszcza że i definicja: „metr toniczny — szereg izotoniczny równy członowi frazy lub frazie” — jest nie wystarczająca. Inna definicja, dotycząca sylabotoniczności: „metr sylabotoniczny — szereg z jednorodnych stóp”, także nie odpowiada całkowicie naszemu sylabotonicznemu wierszowaniu. Sylabotoniczność polski wykształcił się w

*) Dr. Stanisław Furmanik. Podstawy wersyfikacji polskiej. Str. — Warszawa. — Wydawnictwo E. Kuthana.

„BURZA” SZEKSPIRA

Inscenizacja L. Schillera i dawniejsze próby teatralnego ujęcia „Burzy”

LÓDZKA inscenizacja „Burzy”, jakkolwiek nie była przygotowana z myślą o konkursie szekspirowskim, i w eliminacji udziału nie bierze, pokazana jednakże w ramach festiwalu w Warszawie, dała sposobność, by ją zestawić z innymi konkursowymi spektaklami. Konfrontacja taka musi obudzić wątpliwość, czy nawet w wypadku gdyby Łódzka „Burza” stanęła do tych artystycznych zawodów, czy możliwym byłoby ustalić jednolitą zasadę porównawczą dla pracy Schillera, niezależnie od efektów jakie udało mu się, — lub nie udało, — osiągnąć, i dla pozostałych przedstawień.

O ile bowiem ocena wysiłków trzech niełódzkich prac konkursowych zamknąć się może w zaklasyfikowaniu mniej lub więcej dobrej gry aktorów, czy pomysłów reżyserskich i dekoracyjnych, — o tyle inscenizacja „Burzy” musi być umieszczona w szeregu porównawczym innym, — jako próba skonstruowania teatralnego stylu szekspirowskiego, nawiązująca do poprzednich osiągnięć europejskich i polskich, i podejmująca z nimi dyskusję.

Stwierdzenie to bynajmniej nie zawiera do datniej lub ujemnej oceny jakiegokolwiek z konkursowych przedstawień, ani sugestii, że praca Schillera wyróżnia się aż tak bardzo; konstatuje ono jedynie, że organizatorzy festiwalu (Departament Teatru przy Min. KS.) nie ustalili jasno celu konkursu: czy zależało im na wypracowaniu specyfiki formy teatralnej Szekspira w Polsce, czy po prostu na porównaniu stopnia sprawności aktorów i reżyserów, traktujących Szekspira jako popisowy materiał teatralny?

Troska bowiem o styl wykonawczy Szekspira, Molière, Lope de Vega, Racine'a czy Corneille'a (jeśli o istnieniu trzech ostatnich na naszej scenie w ogóle mówić można), jest obca naszemu teatrowi; Szekspir na scenach polskich, to doraźne, przypadkowe stylistyczne, bez własnego oblicza, pojedyncze przedstawienia, nie nawiązujące zazwyczaj do żadnej tradycji, i wyzbyte ambicji zbliżenia poety do współczesności, — co jest warunkiem stałego doskonalenia się stylu teatralnego.

Cóż może nasza scena przeciwstawić europejskiej przeszłości teatralnej Szekspira, w Anglii czerpiącej z tradycji „analizy indywidualnej” takich tragików jak Kean czy Irving, z eksperymentów symbolisty Craiga; w Niemczech związanej z doświadczeniami rekonstrukcyjnymi Immermanna, z próbami wydobycia „nastroju szekspirowskiego” przez Jessnera i ekspresjonistów i in.?

Ambicja Schillera, by z dramatyki Szekspira zbudować konsekwentne stylistycznie i ideologicznie dzieło teatru, zaczyna się od doboru sztuki. Teatry polskie wybierały przede wszystkim komedie („Wieczór trzech królów”), jako najłatwiejsze do wystawienia; na drugim miejscu, w tej tabeli popularności, stała „wielka tragedia losu”, traktowane zazwyczaj jako materiał popisowy dla aktora-wirtuoza: „Hamlet”, „Otello”, „Król Lear”, itp.; „Burza” wystawiana była w Polsce zaledwie trzy razy; wraz ze „Snem nocy letniej” tworzy grupę komedii romantyczno-fantastycznych, do których Szekspir wprowadził postaci ludowej wyobraźni baśniowej, elfy, rusałki, duchy symbolizujące siły przyrody, — język nader od współczesnego odczuwania oddalony. Gdy jednak „Sen nocy letniej” ma dla nas już tylko feyeryczne uroki, „Burza” musi zastąpić konturem ideologicznym: w chwili gdy wielkie pesymistyczne tragedie Szekspira budzić muszą dziesiątki wątpliwości, właśnie z powodu ideologicznego, gdy nawet komedie jego zabarwione będą rozgorczyeniem („Miarła za miarłą”, „Wiele hałasu o nic”), — „Burza” brzmi tonem optymizmu, wiary w przewagę umysłu ludzkiego nad siłami przyrody i odruchami namiętności; jedna to z najbardziej humanistycznych sztuk Szekspira; utopijna wyspa, niby szczęśliwa kraina z „Kandydą” wolterowskiego, jest terenem abstrakcyjnym, na którym poeta ukazuje zbrodnie i szlachetność swojej epoki, każąc wierzyć w zwycięstwo przebaczenia i rozumu. Nie będzie paradoksem twierdzenie, że w „Burzy” (zresztą również w „Opowieści zimowej”) Szekspir jest prekursorem powiastki filozoficznej racjonalistów... By jednak owa ideologia komedii zdyskontować dla naszych czasów, rozprawić się trzeba z jej formą poetycką baśni, wyrastającej z czarnoksiężskich opowieści średniowiecznych... Zagadnienie właściwego ujęcia ideologicznego jest więc problemem formalno-teatralnym: jak ocalić czar szekspirowskich wizji, bez podpadnięcia w śmieszność, jak zamortyzować ideologicznie ów świat duchów, tak by nie zniszczyć jego poetyckiej wartości? Czy pójść drogą wskazaną przez Renana, który daje „Dalszy ciąg Burzy”, czyniąc Kalibana przywódcą buntu ludowego przeciwko księciu, — a więc interpretując „potwora” szekspirowskiego jako symbol proletariatu, w Arielu zaś dostrzegając symbol panowania człowieka współczesnego nad siłami przyrody poprzez rozwój techniki? Nie do przyjęcia będzie dla nas ten sposób ratowania „Burzy” dla współczesności przez mozolne rozbudowywanie dalekich aluzji, sprzeczne zbyt jaskrawo z intencjami poety i niewyczące subtelną fakturę utworu.

Równie nie do przyjęcia będzie interpretacja romantyczna, ciążąca nad wszystkimi trzema dotychczasowymi inscenizacjami polskimi. Źródłem tego ujęcia jest przekonanie, że duchy mają być tak rzeczywiste, jak przedmioty materialne, i ukazywać je należy niejako „na serio”; nie są to znaki intelektualne, metafory celowo zbudowanej koncepcji, — jak my dzisiaj odczytujemy sens Tytania, Ariela, Oberona... Teatr romantyczny zjawy traktował



Władysław Daszewski

skizmy do kostiumów i projekt dekoracji

dosłownie, bynajmniej nie konwencjonalnie, umownie. Stąd Ariel był kobietą ubraną w trykoty barwy cielistej, imitujące nagosć, ze skrzydłami ważki czy motyla, wierznie skopiowanym z gablotki entomologicznej, — podobne przemierzanie ultra-naturalistycznych elementów cechowało cały świat duchów, pokazany przy użyciu pełnej aparatury „Hohemaschinerie” teatralnej, z udziałem dźwięków, zapadnię „flugów”, na których huśtały się, wędrowały z niebios i spod ziemi potwory, posługujące się wszelkimi przyrządami iluzjonistycznej techniki; „cztery uplastyczniano z pomocą tłumy starych artystów, wpadających na scenę w przebraniu małp, koczokodanów, psów, prześladowanych Kalibana; „duchy” te szczerł Prospero, wołając szlachetką niespodziewanie modą; „Hej, Targaj, Sokół!...”, przy akompaniamencie rogów myśliwskich i okrzyków „wycza!” Dobudowywano pseudo-balet w postaci tłumy „duchów”, „Eurian”, „Samielów” itp., których imiona wypisywał na afiszu filolog, specjalista od demonologii. Kaliban pokazany jako zółw, zwierzę ziemno-wodne z błonami na palcach, z ogonem rybnym, — odczuwający banalny „potwór” muzealny. Scena burzy traktowana ultra-realistycznie, była niepomiernie rozbudowana, reprodukowano wiernie pokład okrętu z linami, masztami, żaglami, z dziesiątkami marynarzy biegnących jak szaleni itp. itp.

Tak inscenizowano „Burze” w epoce „Burgtheatru”, tak wystawił ją Kotarbiński w Krakowie, postępując za przykładami niemieckimi; ten styl ciążył nad obydwoma następnymi inscenizacjami, ukazującymi kolorowo i zgoła nie konwencjonalnie krajobraz wyspiarski z chatką-wigwamem, w rodzaju „kolonialnym”, „tropikalnym” (np. przedstawienie w Teatrze Polskim w r. 1913, w reż. Szyfmana i dekoracjach Frycza, inspirowane wzorami Reinhardta i G. Fuchsa, na scenie obrótowej, z wyspą jeżdżącą dokoła zależnie od zmiany sytuacji, z burzą wyświetloną z epidiaskopu w formie projekcji).

Zamiarem Schillera było zerwać z tymi fatalnymi środkami teatralnymi nie do przyjęcia zarówno jako chwyt ziego gustu, co jako deformacje ideologiczne, odwracające uwagę od właściwego tematu: Prospero, czło-wiek-wzór, osiąga szczyt doskonałości, karci przestępców i wybacza im, i wraca jako książę do życia praktycznego. W inscenizacjach poprzednich motyw Prospera przysięgnięty był absorbującym wyobraźnię widza światem duchów, traktowanych jako rzeczywistość; punkt ciężkości przesunięty był z ideologii na teację. Schiller, nie rezygnując z elementów baśniowego czaru, próbuje go zamknąć w ramy intelektualnego dystansu. A więc Ariel to nie fruująca na „flu” aktor-

ka z gęsimi skrzydłami, śpiewająca koloraturowe arie; ducha tego ujmuje Schiller konwencjonalnie, ukazując go w miejscu na którym każdy kto staje, jest niedostrzegalny (pomost). Widzowie rychło przyswajają sobie ten środek umowny, przypominający podobny chwyt teatru japońskiego „No”, używającego czarnego kostiumu dla oznaczenia niewidzialności. Tu Ariel nosi zastępną z przezroczystej szarej gazy, z Merkurowymi skrzydłami u stóp i u skroni, ruchy zaś jego, komponowane, celowe, schematyczne, nie mają nic z psychologicznie naśladowanego z życia „przeżywania”. Ariel jest niejako czystym znakiem intelektu; w podobnie konwencjonalny sposób, ze stałym podkreśleniem sztuczności, elementu „artificial”, traktuje Schiller wszystkie duchy w służbie Prospera, — potwory, jakby skopiowane z płócién Bosccha czy Breughela, ale wybiegające krokiem taletowym w takt alzbietąńskiej muzyki; widma, ale odgrzywające teatr niby na barokowej scenie dworskiej.

Ten sam dystans intelektualny cechuje ujęcie postaci Prospera; nie jest to „czarnoksiężnik” w płaszczu pokrytym znakami kabalistycznymi, w szpiczastej czapce, zakryty kłębami dymu itp.; Schiller, odwołując się do komentarza historycznego, stwierdzającego, że „Burza”, ostatnie dzieło Szekspira, jest pozegnanie poety z jego teatrem, — wystylizował tę postać, nadając jej rysy twarzy i kostium samego Szekspira, według zachowanej ikonografii... Prospero, gdy celebrytuje czary, używa pałeczki czarnoksiężskiej jak rekwizytu; jest magiem w cudzysłowie; pod jego strojem magicznym widzimy wciąż poeę, opuszczającego scenę, pozostawiającego w „Burzy” testament działalności: ideowy dramat o tryumfie rozumu i sprawiedliwości. Ten temat jest głównym motywem „Burzy” w inscenizacji Schillera.

Dlatego nową funkcję w tym ujęciu otrzymuje Kaliban: nie konwencjonalny „potwór”, rarów, dziwoląg z błoniastymi łapami, pazurami i ogonem zółwim, — a po prostu człowiek, syn czarownicy, o ciele ocieślonym od pracy, o cechach półjaskiniowca, obowiązany sparciałym sznurem, — istota wszakże zdolna do subtelnych uczuć, wrażliwa na muzykę i na piękno Mirandy. Schiller upatruje w stosunku Prospera do Kalibana jeden z grzechów księcia. — Kaliban miał bowiem dobre skłonności, i Prospero próbował go uczyć, dopiero próba zgwałcenia Mirandy obudziła w magu małoduszne uczucie osobistej urazy; mszcząc się, Prospero zaniedbał wychowanie Kalibana. W trzecim akcie Schiller ukazuje w pantominie Kalibana ciężko pracującego, dźwigającego olbrzymi pień. Nieustanna muzyka brzmi w powietrzu, i Kaliban słucha, wrażliwy na dźwięki, — słucha jak dziecko, wzruszony, — oglądamy piękną twarz tego rzekomego potwora. W taki sposób doświad-

eza go Prospero, który dochodzi do świadomości swego błędu, i w zakończeniu „Burzy” godzi się z Kalibanem. Ta scena wzajemnego wybaczenia, gdy mag ścisła nadmorskiego człowieka, jest kluczową dla ideologii utworu, którego treścią, w interpretacji Schillera, jest osiągnięcie doskonałości dostępną człowiekowi i tryumf racjonalizmu nad rozpętanymi namiętnościami i rzekomymi „naturalnymi” skłonnościami.

Nowa inscenizacja „Burzy”, której dokładny opis powinien się znaleźć w archiwum teatrolologicznym PWST, w dziejach naszego teatru szekspirowskiego staje obok eksperymentu „Opowieści zimowej”, wystawionej w Teatrze im. Bogusławskiego w r. 1925. (reżyseria Schillera, dek. Pronaszk) ujętej w geometryczne dekoracje i absrakcyjno-ornamentalne kostiumy, oraz obok również schillerowskiego „Snu nocy letniej” w Teatrze Polskim w r. 1932, opartego na podobnej co dzisiejsza „Burza” zasadzie „zracjonalizowania baśni bez niweczenia baśni”. Ten intelektualny język teatralny, odstąpił Szekspira — racjonalistę, świadomego i celowego moralistę, (na próżno próbom pseudoromantycznej, idealistycznej interpretacji), nie roni przecież piękna dramatyki szekspirowskiej; obiektywizuje je jedynie, podkreślając elementy sztuki konstrukcji, polifonii, wydobywając aktualną dla dzisiejszego widza ideologię; Szekspir brzmi tu innym tonem, i jeśli użyjemy porównania muzycznego, raczej przypomina intelektualnych mistrzów, jak Bacha i Mozarta, a nie romantycznie rozwiniętych uczuciowców i wizjonerów, — jak go interpretowali poprzedni inscenizatorowie.

W ujęciu Schillera nacisk pada nie na narrację, lecz na obraz; wiele z nich to sugestywne dzieła reżyserii teatralnej, np. scena burzy. Schiller, bodaj po raz pierwszy w dziejach inscenizacji tej komedii, nie pokazuje burzy, która wszak jest magią Prospera. Podróżnicy są zasugerowani, stają się ofiarami zabawy czarnoksiężskiej, zaaranżowanej przez Ariela, który w tej scenie jest demonem ognia, ubranym w kostium z korala, z pochodnią w ręku, nękającym, ukazującym się raz po raz, migającym w rozmaitych miejscach. — jako jedyny element rzekomej „burzy”, — przy morzu bezprzerwanie spokojnym; cała ta scena pokazana jest w symbolicznym wykreju okrągłym, w ramie — kole ozdobionej znakami Zodiaku — symbol sprzyjającej koniunktury astrologicznej.

Nowa inscenizacja „Burzy” była gorąco przyjęta przez publiczność warszawską w ramach trzydniowego pokazu festiwalowego; przedstawienie opracowane było nader starannie, w oparciu muzyczny tak wybitnych specjalistów jak Wł. Raczkowski, T. Klesewetter i K. Witkowski. Krytyka małą zwraca uwagę na pieczołowitość muzyczną, z jaką Teatr WP przygotowuje swe ostatnie spektakle; oprawa muzyczna do „Burzy”, wykorzystująca motywy muzyki elzbietąńskiej i skromny ten materiał rozbudowująca wszechstronnie, w zależności od potrzeb bogatej inscenizacji, nie zacierająca jednakże ani na chwilę stylu muzyki staroangielskiej, warta jest może wykonania estradowego, jako dzieło muzyczne o odrębnej wartości. Dekoracje i kostiumy, wykonane przez Pracownię Scenograficzną PTWP pod kierunkiem Wł. Daszewskiego, to może obok „Wieczoru trzech królów”, najciekawsza kompozycja szekspirowska Daszewskiego, klasycznie regularna, a jednocześnie pełna fantazji i owej stylizowanej dzwinnosci, jaka panuje na zwrotnicowej, intelektualnej i poetyckiej Utopii. (Piękny pomysł stałego tła — mapy, utrzymanej w graficznym stylu renesansowej karty geograficznej).

Formę scenograficzną Szekspira, jaką wypracował Daszewski w ciągu swojej działalności na scenach polskich, znanionuje postęp, równoległy do wysiłku Schillera w zakresie inscenizacji; to też współpraca tych dwóch artystów w „Burzy” daje najbardziej konsekwentną próbę nowego stylu. Ujęcie antynaturalistyczne Szekspira, zbliżone do „Burzy”, cechowało już „Hamleta” Daszewskiego w Teatrze Polskim w 1939 r. (inscenizacja A. Węgiełki); dekoracja daleka nie tylko od złudzeniowego, opisowego, iluzjonistycznego „realizmu”, a także od wszelkiego abstrakcjonizmu, deformizmu, „geometryczności”. Jest tu daleka reminiscencja do umowności teatru szekspirowskiego (kondygnacje w „Hamlecie”, pomost w „Burzy”), lecz bardzo niezależna, bez skłonności do rekonstrukcji; ta aluzyjna oprawa nie tylko sprzeciwia się prawdzie, ale daje to odpowiednie dla swoistego realizmu poetyckiego, może najbardziej bliskiego stylowi Szekspira.

Jako Prospero wystąpił gościnnie Karol Adwentowicz, w roli raczej dla niego nietypowej („władczy rezoner”), jednak znakomicie mówiący wiersz (nowy przekład Cz. Jastrzębiec — Kozłowski), zdaje się niezły, zawiera przykre naleciałości stylu „młodopolskiego”: „gędzba”, „powolnym będzie ci rabem” etc.). W owej wysokiej klasie sekundował mu Węgrzyn jako Alonso. Dwie bardzo dobre, a wszak bardzo trudne role, to Kaliban Pietraszkiewicz, który stworzył postać prawdziwie „naturalną”, jeśli można się tak o potwora wyrazić, doskonale interpretując zamiar Schillera, by ukazać wrażliwość tej postaci, budzącą wiarę pomimo niemiłej budzącej wiary siły buntowniczej tkwiącej w Kalibanie; oraz Ariel Ryszard Hanin, być może najlepsza dotychczas rola tej aktorki, bardzo intelektualnej, jak właśnie być powinien bezpretensyjny duch, a jednak zabarwionej wrażliwością i poetycznym „językiem”.
Z. Kaczyński

